

MAGAZYN NOWOŚCI

pod firmą

AU BONHEUR DES DAMES

PRZEZ

EMILA ZOLE.

TOM DRUGI.

WARSZAWA

Wydawnictwo Przeglądu Tygodniowego

1883.

Дозволено Цензурою
Варшава 10 Марта 1883 г.



ROZDZIAŁ I.

Nazajutrz w pół godziny po przyjsciu Dyonizy do oddziału, pani Aurelia powiedziała jej ostro:

— Wzywają pannę do dyrekcji.

Zastała Moureta, siedzącego samotnie w gabinecie obitym zielonym rypsem. Naraz przypomniał sobie „źle uczesaną”, jak ją nazwał Bourdoncle—i on, który nie lubił odgrywać roli żandarma, powziął myśl wezwania jej do siebie i zalecenia większej staranności, aby nie przychodziła tak śmiesznie ubraną, jak poprzedniego dnia. Chociaż obracał to w żarty, ubodła jego miłość własną uwaga pani Desforges, zarzucającej brak elegancji jego sklepowej. Doznawał on uczucia, w którym sympatya łączyła się z gniewem.

— Przyjęliśmy pannę przez wzgląd na jej stryjka, odezwał się, proszę nas więc nie stawiać w smutnej konieczności...

Nagle powstrzymał się... Naprzeciw niego, po drugiej stronie biurka, Dyoniza stała wyprostowana, poważna i blada. Jedwabna suknia już nie szeroka, obejmowała kształtną figurkę, uwyda-

tniając czyste linie jej dziewiczych ramion. Włosy splecione w grube warkocze, nie były wprowadzie elegancko ułożone, ale przynajmniej upięła je mocno. Zasnawszy w ubraniu, z oczami znużonymi od płaczu, obudziła się około czwartej godziny, zawstydzona swą drażliwością nerwową. Natychmiast wzięła się do zacieśniania sukni i całą godzinę spędziła przed wążkiem lusterkiem, z grzebieniem we włosach, nie mogąc w żaden sposób tak ich uczesać, jak sobie życzyła.

— Ach, dzięki Bogu! — przemówił Mouret — wyglądasz dziś panno daleko lepiej.. Tylko te nieszczęsne kosmyki...

Wstał i zaczął poprawiać jej uczesanie, tak poufale, jak to wczoraj próbowała pani Aurelia.

— Proszę to włożyć za ucho. Warkocze za wysoko upięte.

Nie otwierała ust, pozwalając z sobą wszystko robić co zechciał. Pomimo postanowienia że będzie silną, weszła do gabinetu złodowaciała, tak była pewną, że ją odprawią. Widoczna życzliwość Moureta nie uspakajała jej; obawiała się go ciągle i doznawała przy nim przykrego wrażenia, które jej się wydawało naturalne, wobec potężnego człowieka, trzymającego jej losy w swem ręku. Skoro spostrzegł, że tak drży, gdy się on dotyka jej karku, pożałował tego ruchu życzliwego, przede wszystkim zaś obawiał się utraty swej powagi.

Przegradzając się znowu od niej biurkiem, rzekł:

— Proszę, żebyś panna staranniej się ubierała. Nie jesteś już w Valognes; naśladuj nasze paryżanki. Wprawdzie imię stryja otworzyło pannie drzwi nasze, ale spodziewam się, że oczekiwania moich nie zawiedziesz. Na nieszczęście nie wszyscy tu podzielają moje zdanie. Jesteś panna uprzedzoną... nieprawdaż? Mam nadzieję, że mnie nie wykierujesz na kłamcę.

Traktował ją jak dziecko, okazując więcej politowania niż dobroci. Poprostu, ta drżąca i niezgrabna dziewczynka, w której odgadywał kobietę wywierającą silne wrażenie, przebudzała w nim wrodzoną ciekawość.

W ciągu tych napomnień, spostrzegła ona niespodziewanie portret pani Hédouin, której regularna twarz, uśmiechała się poważnie w złotej ramie i dreszcz ją przeniknął, pomimo słów zachęty, jakie się obijały o jej uszy. Była to więc ta pani, którą zabił, jak utrzymywała cała dzielnica, żeby zbudować swój zakład na jej zakrwawionych członkach!

Mouret ciągle jeszcze mówił, nakoniec usiadł i rzekł, biorąc pióro do ręki:

— Możesz panna odejść.

Odeszła, uśmiechnęła się w korytarzu, doznając wielkiej ulgi.

Od tego dnia, Dyoniza okazywała wielką odwagę. Rozsądek stał zawsze na straży, wśród po-

wtarzających się napadów drażliwości; było to męztwo słabej i samotnej kobiety, oddającej się wesoło przyjętym obowiązkom. Zachowywała się spokojnie, dążyła wprost do celu, z niezwalczoną słodyczą, pokonywując przeszkody. Spełniała to wszystko z prostotą, naturalnie, pośród gniewnych uniesień innych osób, z twarzą dziecięcą, spokojną. Jej słabe ręce, nabywały powoli sprężystości stali.

Z początku musiała się oswajać z ciężką pracą w oddziale. Od dźwigania stosów okryć, tak poraniła ramiona, że przez pierwsze sześć tygodni, jęczała po nocach nie mogąc się przewrócić z bólu. Lecz najwięcej dolegały jej grube trzewiki, przywiezione z Valognes, których dla braku pieniędzy nie mogła zastąpić lżejszemi. Ciągłe na nogach, drepcąc od rana do wieczora, Łajana gdy się na chwilę wsparła o ścianę, miała nogi spuchnięte, te małe dziecięce nóżki, które zdawały się zmiążdżone, jakby przez meszty torturowe. Pięty gorączkowo ją paliły, podeszwa okryła się pęcherzami, których powłoka przylepiała się do pończoch. Było to całkowite wycieńczenie ciała; członki i organa odczuwały zmęczenie nóg, nagłe wzburzenie organizmu kobiecego, uwydatniało się bladością cery. Jednakże ona, tak szczupła i wątła z pozoru, potrafiła wytrwać, podczas kiedy wiele innych sklepowych zmuszonych było opuścić magazyn, z powodu specjalnych chorób. Dzięki oierpliwości w cierpieniu, wytrwałości

w męztwie, ciągle była uśmiechniętą i z głową do góry podniesioną, nawet kiedy padała skutkiem zupełnego wyczerpania sił i pracy, jakiej nie każdy mężczyzna mógłby podolać.

Drugim jej udręczeniem było to, że cały oddział był jej niechętny. Do męki fizycznej, przyłączało się ciche prześladowanie koleżanek. Po dwóch miesiącach cierpliwości i słodyczy, nie mogła ich jeszcze rozbroić. Zarzucały ją obelżywymi słowami, zmyślały różne okropności, odpychały od siebie ją, która całym sercem pragnęła ciepła i tkliwości.

Długo wysmiewano ją z powodu nieszczęśliwego debiutu, ciągle kursowały słowa: „saboty”, „rączka od motyki”; te co przeoczyły sprzedaż, odsyłano do Valognes, słowem stała się celem naigrawań całego oddziału. Gdy się potem wy kierowała na wzorową sklepową, poznawszy już doskonale mechanizm zakładu, powstało ogólne oburzenie—i od tej chwili panny porozumiały się pomiędzy sobą, żeby do niej niedopuszczać żadnej ważniejszej klientki. Małgorzata i Klara czuły instynktową nienawiść i ścisnęły szeregi, aby się nie dać pożreć przez tę nową przybyszkę, której się obawiały, pod pokrywką wzgardy. Co się tyczy pani Aurelii, była obrażoną dumnym zachowaniem się dziewczyny, która nie kręciła się koło niej z pieśzcotliwym pochlebstwem. Dla tego rzuciła ją na pastwę złośliwości swych faworytek, ulubionych dworaczek, ciągle przed nią pa-

dających na kolana i karmiących ją pochlebstwy, których gruba ta postać potrzebowała, aby zachować powagę. Jakiś czas pani Frédéric zdawała się nienależać do spisku, ale musiało to pochodzić tylko z nieuwagi, bo wkrótce okazała się również ostrą, gdy spostrzegła, ile złego może jej wyrządzić dobre zachowanie się Dyonizy. Wówczas poczuła się zupełnie opuszczoną; wszystkie się pastwiły nad „źle uczesaną”; żyła wśród nieustannej walki i pomimo ogromnej odwagi, z trudnością mogła się utrzymać w swym oddziale.

Takie było jej życie obecne: musiała się uśmiechać, okazywać się odważną i uprzejmą i chodzić w jedwabnej sukni, niebędącej jej własnością. — Upadała od zmęczenia, źle karmiona, źle traktowana, pod wieczną groźbą grubiańskiego wydalenia. Pokoik jej był jedynem schronieniem, jedynem miejscem, gdzie się mogła wypłakać, gdy w ciągu dnia za wiele przecierpiała. Lecz tam panowało dokuczliwe zimno pod dachem cynkowym pokrytym warstwą śniegu grudniowego, zmuszoną była zwijać się w kłębek na żelaznem łóżku, przykrywać się wszystkim co miała pod ręką z ubrania, płacząc pod kołdrą, żeby chłód niepo-bruzdził jej twarzy. Mouret nie przemawiał już do niej ani słowa. Porywały ją dreszcze gdy przy zajęciu spotkała Bourdoncle'a, przeczuwała w nim bowiem, zawziętego wroga, który nie przebaczał najmniejszego uchybienia. Pośród ogólnej niechęci, zadziwiła ją życzliwość inspektora Jouve;

spotkawszy ją na uboczu, uśmiechał się lub mówił jakie grzeczne słówko; dwa razy obronił ją od wymówek, za co nie okazała mu najmniejszej wdzięczności, bo ta opieka wywoływała w niej raczej pomieszanie aniżeli przyjemne wzruszenie.

Pewnego wieczoru kiedy panny układały w szafach, Józef przyszedł dać znać Dyonizę, że na dole czeka na nią jakiś młodzieniec. Zeszła zaniepokojona.

— Aa... „źle uczesana” ma kochanka?

— Musi być bardzo głodny — zawołała Małgorzata.

Na dole przy drzwiach, Dyoniza zastała Jana, któremu najsurowiej zabraniała przychodzić do magazynu, było to bowiem bardzo źle uważane. Lecz nie śmiała go łajać, tak się zdawał pomieszany; bez czapki był i zdyszany, gdyż biegł do niej aż z przedmieścia Temple.

— Masz dziesięć franków? — wybełkotał. Daj mi, bo inaczej jestem zgubiony.

Ten hultaj z potarganemi blond włosami, był tak komiczny ze swą ładną panięską twarzą, wymawiając te melodramatyczne słowa, że byłaby się roześmiała, gdyby jej nie zatrwożyło żądanie pieniędzy.

— Jak to! dziesięć franków? — powiedziała — cóż się stało?

Zaczerwienił się i rzekł, że spotkał siostrę swego kolegi. Dyoniza kazała mu milczeć, bo jej się udzieliło jego zakłopotanie; zresztą nie chcia-

ła nic więcej usłyszeć. Już dwa razy udawał się do niej o podobną pożyczkę; lecz pierwszy raz chodziło o dwadzieścia pięć sous a drugi o trzydzieści; zawsze mu się przytrafiały jakieś przygody z kobietami.

— Nie mogę ci dać dziesięciu franków, — powiedziała. Za Pépé nie zapłaciłam jeszcze miesięcznej pensyi, a na to jedynie zachowuję pieniądze. Pozostanie mi tylko na kupienie bucików, których mi bardzo potrzeba. — Ależ mój kochany Janie, ty się źle prowadzisz.. to bardzo niedobrze.

— Jestem zgubiony — powtórzył z gięstem traicznym. Słuchaj siostrzyczko: to jest wysoka brunetka, wstąpiliśmy do kawiarni w towarzystwie jej brata i nie mogłem podejrywać, że to co zjemy...

Musiała mu znów przerwać mowę, ale spostrzegłszy łzy w oczach kochanego trzpiota, sięgnęła po portmonetkę; wyjęła z niej sztukę dziesięcio-frankową i wsunęła mu ją w rękę. Natychmiast zaczął się śmiać.

— Wiedziałem, że się na tem skończy; ale słowo honoru, już nigdy tego nie zrobię, musiałbym być podłym nędznikiem.

Wybiegł zaraz, ucałowawszy jej policzki. W magazynie subiekci byli zdziwieni.

Dyoniza nie mogła zasnąć owej nocy. Od czasu wejścia do Magazynu Nowości, pieniądze stanowiły jej nieustanną troskę. Ciągłe pozostawała

bez stałej pensyi; a ponieważ koleżanki przeskadzały w sprzedaży, zarabiała tylko na zapłacenie za Pépé, dzięki klientkom, które pogardzały inne. Była to czarna nędza w jedwabnej sukni. Przepędzała bezsenne noce, naprawiając swoją lichą garderobę, cerując koszule, jakby kosztowne koronki. Musiała nawet załatać trzewiki, zgrabniej od biegłego szewca; próbowała i prac w miednicy. Najbardziej ją niepokoiła stara wełniana sukienka; nie mając innej, musiała się codzień w nią ubierać po zdjęciu jedwabnego munduru, czem ją do reszty niszczyła. Spostrzeżona plama, wprawiała ją w gorączkę, najmniejsza dziurka była katastrofą. Nie miała nic dla siebie, ani jednego sous na najdrobniejsze wydatki, niezbędne dla kobiety. Zmuszoną była czekać dwa tygodnie, żeby módz kupić nici i igieł. Było to więc klęską, kiedy Jan ze swemi miłosnemi sprawami, wpadał nagle i rabował jej kieszeń. Dwadzieścia sous porwanych, kopało przepaść, którą nie wiedziała czem zapełnić. Co się zaś tyce uzyskania nazajutrz dziesięciu franków, o tem nie mogła myśleć nawet. Całą noc spędziła niepokojnie wśród snów dręczących; widziała Pépé wyrzuconego na ulicę, podczas kiedy ona zbija bruki pokaleczonemi nogami, szukając daremnie pieniędzy.

Nazajutrz znowu musiała uśmiechać się i odgrywać rolę wystrojonej panny. Znane klientki przyszły do oddziału, pani Aurelia przywoływała

ją kilka razy i rzucała jej na ramiona płaszcze, ażeby pokazać krój nowy. Wyginając się z wdziękiem lalki malowanej na żurnalu, myślała tylko o czterdziestu frankach na zapłacenie za Pépé, które obiecała odnieść wieczorem. Lecz nawet gdy doda do trzydziestu franków i cztery odłożone grosz po groszu, uczyni to tylko trzydzieści cztery, a z kąd wziąć sześć, dla uzupełnienia sumy? Była to troska, od której zamierało jej serce.

— Szanowna pani raczy zauważyć, że w ramionach jest całkiem swobodny, mówiła pani Aurelia. To bardzo dystyngowane i wygodne okrycie. Panna może założyć ręce.

— O najdoskonalej — odpowiedziała Dyoniza, zachowująca ciągle uprzejmą minę. Nic nie krępuje; pani będzie z niego zadowolona.

Wyrzucała sobie teraz, że zeszłej niedzieli, wzięła Pépé od pani Gras, żeby się z nim przejść po Polach Elizejskich. Biedne dziecko, tak rzadko z nią wychodziło. Musiała mu więc kupić pierniczów i łopatkę, a to wyniosło dwadzieścia dziewięć sous. Jan chyba nie myśli o Pépé, kiedy takie głupstwa wyrabia... Kończy się na tem, że się wszystko o moie opiera.

— Jeżeli się to okrycie pani niepodoba, to niech się panna ubierze w rotondę, żeby się pani przyjrzała.

Dyoniza przechadzała się drobnym krokiem w rotundzie na ramionach, mówiąc:

— Jest cieplejsza i modna w tym roku.

Aż do wieczora, pod maską przymusowego uśmiechu, dręczyła się myślą z kąd wzięść pieniędzy. Panny obłowiwszy się dobrze, pozwoliły jej dokonać jednej znacznej sprzedaży; ale był to dopiero wtorek, trzeba było czekać cztery dni do odebrania tygodniowych dochodów; postanowiła odłożyć do jutra pójście do pani Gras. „Wymówię się tem, że mię zatrzymano, a do tego czasu, może gdzieś znajdę sześć franków” — powiedziała sobie.

Wystrzegając się najmniejszych wydatków, Dyoniza wcześniej udawała się na spoczynek. Cóżby robiła zresztą na ulicy, bez grosza przy duszy, ona tak dzika i wiecznie obawiająca się wielkiego miasta, z którego nic nie znała prócz ulic przylegających do magazynu. Czasami ośmielała się dojsć aż do Palais-Royal, żeby odetchnąć świeżem powietrzem; lecz prędko powracała do domu, żeby się zamknąć i szyć lub prać. Nie miała żadnej przyjaciółki, ze wszystkich tych panien, jedna tylko Paulina Cugnot okazywała jej życzliwość, lecz ponieważ oddział okryć był w ciągłej wojnie z oddziałem bielizny, więc sympatya tych dwóch sklepowych, ograniczała się na zamienieniu kilku słów przy spotkaniu. Paulina zajmowała pokoiik, przytykający z lewej strony do izdebki Dyonizy; ale że znikwała zaraz po obie-

dzie, a wracała najczęściej już o jedenastej, zatem Dyoniza słyszała tylko jak się jej sąsiadka kładła do łóżka, nigdy jej nie widując w godzinach wolnych od zajęć.

Tej nocy Dyoniza znowu wzięła się do szewstwa. Oglądała swoje trzewiki, rozmyślając nad tem, jakim sposobem mogłaby je nosić jeszcze cały miesiąc. Nakoniec wzięwszy grubą igłę, postanowiła przyszyć podeszwę, która lada chwila mogła odpaść;—tymczasem zaś kołnierzyk i mankiety, mokły w miednicy pełnej mydlin.

Już było dziesięć minut po jedenastej, kiedy posłyszała kroki w korytarzu i podniosła głowę. Znowu któraś z panien opóźniła się. Poznała, że to Paulina, posłyszawszy drzwi otwierające się w sąsiedztwie. Wielkie było jej zdumienie, gdy koleżanka leciuchno do niej zapukała.

— Śpiesz się, to ja.

Niewolno było pannom odwiedzać się w pokojach. Dyoniza prędko zatem obróciła klucz w zamku, aby sąsiadka nie została schwytaną na gorącym uczynku przez panią Cabin, pilnie przestrzegającą przepisów.

— Widziałas ją?—zapytała śpiesznie, zamykając drzwi.

— Kogo? panią Cabin?—powiedziała Paulina. O, ja się jej nie boję. Za sto sous można ją kupić. Potem dodała: spostrzegłam światło u ciebie, a już od tak dawna chciałam pogawędzić. Na do-

le w żaden sposób nie można. Zresztą miałaś dziś tak smutną minę przy obiedzie...

Dyoniza podziękowała jej i podała krzesło, zniewolona jej serdecznością. Lecz zaskoczona przez te niespodziewane odwiedziny, nie zdążyła schować naprawianego trzewika. Oczy Pauliny padły na ten trzewik. Potrząsając głową, rozglądając się dokoła, spostrzegła kołnierzyk i mankiety w miednicy.

— Spodziewałam się tego, moja biedaczko — rzekła. — O, znam to dobrze. W pierwszych czasach po przybyciu z Chartres, kiedy ojciec Cugnot ani grosza mi nie przysyłał, sama prałam sobie koszule. Miałam ich tylko dwie, jedna zatem zawsze mokła.

Usiadła, zdyszana z prędkiego biegu. Jej duża twarz, oczki małe i żywe z wyrazem dobroci, szerokie i tkliwe usta miały wdzięk pomimo grubych rysów. Od razu, bez wstępu, jednym tchem opowiedziała swoją historję. Młodość spędziła we młynie, potem ojciec Cugnot podupadł z powodu procesu i wysłał ją do Paryża z dwudziestoma frankami w kieszeni, żeby tam sobie los znalazła. Później opisała jej debiuta swoje jako sklepowej, naprzód w jednym sklepie w Batignolles, potem w *Bonheur des Dames*; wspominała o wszystkich możebnych przykrościach i prywacyach; o obecnem swem życiu z zarobkiem dwudziestu franków miesięcznie; o uciechach, wśród jakich dni pędziła. Pochwaliła się

też posiadaniem kosztownościami: broszką, łańcuszkiem do zegarka, jaśniejącym na jej ciemnoszafirowej sukiennej sukni, doskonale leżącej, — i uśmiechała się z pod aksamitnego kapelusza, zdobnego w wielkie szare pióro.

Dyoniza rumieniła się, patrząc na swój gruby trzewik; chciała się tłómaczyć.

— Ależ ja to wszystko sama przechodziłam — powtarzała Paulina. — Jestem starszą od ciebie, mam już dwadzieścia pięć lat, chociaż tego nie widać. Teraz ty mi opowiedz swoje interesa.

Dyoniza dała się nakoniec pociągnąć tą przyjaźnią, tak szczerze jej zaofiarowaną. Usiadła w spódniczce i w starym szalu, obok wystrojonej Pauliny i serdeczna gawęda na dobre się rozpoczęła. Nie było gorąco w tym pokoiku: zimno zdawało się wychodzić z nagich, jakby więzionych ścian tej mansardy; lecz nie spostrzegały, że im palce kostnieją, tak je pochłaniały zwierzenia. Powoli Dyoniza rozgadała się: mówiła o Janie i małym Pépé; wyznała jak jej dotliwie daje się czuć brak pieniędzy. Ztąd wpadły na sądy o panach z oddziału okryć. Paulina zdawała się znajdować w tem ulgę.

— Przebrzydłe te sroki! Widzę, jak z tobą postępują. Gdyby to były dobre koleżanki, mogłabyś mieć przeszło sto franków.

— Wszyscy coś we mnie upatrują — mówiła przez łzy Dyoniza. — Naprzykład pan Bourdoncle, ciągle mnie szpieguje, stara się złapać na jakiejś

pomyłce, jak gdybym mu w czem przeszkadzała...
Jeden tylko ojciec Jouve...

Paulina przerwała:

— To stara małpa... ten inspektor. Ach! moja kochana, nie ufaj mu... o, ci mężczyźni z dużemi nosami...! Napróżno popisuje się orderem, opowiadają o nim historię, jaką podobno miał u nas w oddziale bielizny... Ale dziecko z ciebie, że się tem tak martwisz. To nieszczęście być tak czułym! Co się dziś tobie przytrafiło, to przechodziły też inne. Po prostu opłacasz frycówkę.

Ująwszy ją za ręce, ścisnęła, porwana dobrocią serca. Najważniejszą była kwestya pieniężna. Biedna dziewczyna w żaden sposób nie mogła utrzymywać dwóch braci, płacić pensyę za malca i ugaszczać kochanki starszego,—licząc tylko na ten grosz, którym inne pogardzały. Prawdopodobnie bowiem nie otrzyma stałej pensyi aż w marcu z rozpoczęciem nowego sezonu.

— Słuchaj, to niepodobieństwo, żebyś temu wszystkiemu podołała — rzekła Paulina... Jabym na twojem miejscu...

Szmer dolatujący z korytarza, powstrzymał ją od dalszych słów. Ciągle trzymała w uścisku ręce przyjaciółki i przez chwilę patrzyła na nią w milczeniu, natężając słuch. Potem mówiła pocichu, z serdecznym wyrazem twarzy:

— Jabym na twojem miejscu wzięła kogo...

— Jakto?— spytała Dyoniza, nierozumiejąc.

Zrozumiawszy po chwili, cofnęła swe ręce i po prostu zgłupiała. Ta rada ją żenowała, jako idea, która jej niepowstała nigdy w głowie i nie przedstawiająca żadnej korzyści.

— O! nie, odpowiedziała.

— Jeżeli tak, to się z biedy nigdy nie wydobędziesz, wierzaj. Przekonam cię cyframi: czterdzieści franków za małego, od czasu do czasu sto sous dużemu, zresztą, nie możesz przecież zawsze chodzić jak nędzarka, w trzewikach z których się te panny wyśmiewają; o, te trzewiki wielką ci robią krzywdę... Weź kogo, zaraz ci będzie lepiej.

— Nie—powtórzyła Dioniza.

— Widzę, że jesteś nierozsądna... To jest konieczne, moja kochana i takie naturalne. Wszystkieśmy przez to przechodziły. Ja także nie brałam pensyi, jak ty oto, byłam bez grosza. Co prawda, jest co jeść i gdzie mieszkać, ależ trzeba się ubierać; zresztą niepodobna być bez pieniędzy, zamkniętą w pokoju, gapiąc się na muchy, jak latają... Dlatego też... Trudno... trzeba się puścić..!

Opowiadała potem o pierwszym kochanku, dependencie u adwokata, którego poznała na spacerze w Meudon. Potem zbliżyła się z urzędnikiem pocztowym. Nakoniec od jesieni, odwiedza subiekta z magazynu *Bon Marché*, wysokiego, bardzo miłego chłopca, u którego spędza wszystkie chwile wolne od zajęć. Jednakże nigdy nie ma naraz więcej jak jednego.

— W tym względzie jestem uczciwą, oburzają mnie dziewczęta oddające się pierwszemu lepszemu. Nie namawiam cię bynajmniej do złego prowadzenia się—dodała żywo. Wcalebym sobie nie życzyła na przykład, żeby mnie widziano w towarzystwie z waszą Klarą; bałabym się być posądzoną o takie pohulanki, na jakie ona sobie pozwala. Ale skoro się z kim żyje spokojnie i nie ma się sobie nic do zarzucenia... Czy ci się to takie brzydkie wydaje?

— Nie—odpowiedziała Dyoniza—ale mnie nie bierze ochota do tego.

Znowu zapanowało milczenie. W tym lodowatym pokoiku, obie się uśmiechały, wzruszone tą cichą rozmową.

— Zresztą trzeba czuć sympatyę—powiedziała zarumieniona.

Paulinę bardzo zadziwiły te słowa. Roześmiała się nakoniec i uściskała powtórnie, mówiąc:

— Ależ moja kochana, jak się dwoje ludzi spotka i podoba się sobie... Śmieszna jesteś! Przecież cię nikt nie zmusi. Chcesz, żeby nas Baugé zawiózł w niedzielę za miasto? Wziąłby kogo ze znajomych swoich...

— Nie—odpowiedziała Dyoniza ze swym łagodnym uporem.

Paulina przestała nalegać.

— Każda z nas jest panią swoich postępków — rzekła. — Mówiłam to przez dobroć serca, bo mi

szczerze smutno widzieć koleżankę tak nieszczęśliwą.

Było już blisko północy, wstała więc aby odejść. Wpierwej jednak zmusiła Dyonizę do przyjęcia sześciu franków, błagając, żeby się tem nie trwożyła i oddała wówczas, gdy będzie więcej zarabiała.

— Zgaś teraz świecę, żeby nie widziano, które się drzwi odmykają, potem ją znowu zapalisz.

Po zgaszeniu świecy, uścisnęły się raz jeszcze za ręce. Paulina ostrożnie wymknąwszy się, weszła do siebie, słychać było w ciemności tylko głucho jej stąpanie.

Przed pójściem spać, Dyoniza chciała dokończyć roboty około trzewika i prania. Zimno staowało się coraz dotkliwsze w miarę, jak noc zapadała, ale rozogniona rozmową nie czuła tego. — Nie była jednak oburzona, zdawało jej się, że wolno urządzać sobie życie według upodobania, zwłaszcza gdy się jest samą jedną i swobodną. — Nigdy nie ulegała podobnym ideom, jej rozsądek i zdrowa natura utrzymywały ją w karbach poczciwości. Około pierwszej położyła się nakoniec. Nie kocham nikogo, myślała, a więc dlaczego psuć sobie życie, kazać przywiązanie macierzyńskie dla swych dwóch braci. Jednakże nie mogła usnąć, ciepłe dreszcze dochodziły do karku: wśród bezsenności, przed zamkniętymi powiekami, majaczyły jakieś nieokreślone kształty, niknące w ciemnościach nocy.

Od tego czasu zaczęły Dyonizę zajmować miłosne stosunki panien jej oddziału. Po za sklepem cały czas zwykle poświęcały one mężczyźnie. — Plotki się szerzyły i miłosne przygody rozwieselały panny przez cały tydzień. Klara gorszyła sobą wszystkie; naraz trzech ją utrzymywało, jak powiadano, nie licząc całego szeregu kochanków przypadkowych, których wodziła za sobą. Nie opuszczała dotąd magazynu, gdzie o ile tylko mogła najmniej pracowała, gardząc pieniędzmi, które łatwo w przyjemniejszy sposób zdobywała gdzieindziej, osłaniało ją to bowiem przed rodziną. Bała się ciągle ojca Prunaire, który groził, że przybędzie do Paryża połamać jej ręce i nogi sabotami.

Małgorzata przeciwnie, dobrze się prowadziła; nie było słychać, żeby miała kochankę; wszystkie dziwiły się temu, opowiadając jedna drugiej o jej przygodzie i słabości dla odbycia której przybyła do Paryża. Jakimże sposobem uległa, będąc tak przykładną? Niektóre mówiły, iż się to stało przypadkiem i że teraz zachowuje się dla swego kuzyna w Grenobli. Wyśmiewały się też one z pani Frédéric, pomawiając ją o tajemne stosunki z wysoko położonemi osobami; lecz rzeczywistość nic nie wiadano o jej sprawach sercowych. Co wieczór znikająca ta posępna osoba z wielkim pośpiechem, dążąc niewiadomo dokąd.

Co się tyczy słabostek pani Aurelii, to wieści rozsiewane o jakichś posłusznych młodzieńcach,

zapewne były fałszywe; niezadowolone z niej panny sklepowe, zmyślały je dla zabawki. Być może, iż kiedyś okazywała ona zbyt wiele macierzyńskiego uczucia pewnemu przyjacielowi swego syna; jednakże obecnie zajmowała w magazynie stanowisko osoby poważnej i dalekiej od podobnych szaleństw. Było tam jeszcze oprócz tego całe stado, wychodzące tłumnie z magazynu wieczorem. Na dziewięć z pośród dziesięciu oczekiwali kochankowie. Przy wyjściu u drzwi, na placu Gaillon, wzdłuż ulicy Neuve - Saint - Augustin i Michodière cały szereg mężczyzn wypatrywał je z pod oka. Skoro się rozpoczynała defilada, każdy podawał ramię swojej damie i szli razem, rozmawiając spokojnie, jakby mąż z żoną.

Lecz najwięcej niepokoiło Dyonizę odkrycie, jakie zrobiła o Colombanie: bezustanku widziała go po drugiej stronie ulicy, na progu Vieil Elbeuf wpatzonego w panny z działu okryć. Gdy widział, że go śledzi, czerwienił się i odwracał głowę, jakby z obawy, że go oskarżyć gotowa przed kuzynką Genowefą, chociaż stosunki jej z rodziną Baudu były zerwane, od czasu jej wstąpienia do Magazynu Nowości. Z początku, widząc jego minę zrozpaczonego kochanka, sądziła, że się zakochał w Małgorzacie, która żyjąc cnotliwie i mieszkając w magazynie, wcale nie była dogodną kochanką. Potem zdumiała, przekonawszy się, że on Klarę ściga swym pałającym wzrokiem. Mijały miesiące, od czasu jak dręczył się na przeciw-

ległym chodniku, nie mając odwagi oświadczenia się i to wolnej dziewczynie, mieszkającej na ulicy Louis le Grand, którą mógł co wieczór zaczepić, zanim odeszła z codzielnym nowym kochankiem. Sama Klara nie wiedziała nawet o tej nowej swej zdobyczy, odkrycie to napełniło Dyonizę bolesnym uczuciem, miałaby miłość być czemś tak głupim? Jaktó, chłopiec mający pod ręką szczęście, psułby sobie życie, wielbiąc awanturnicę jak świętość! Od tego dnia serce się jej ścisnęło, gdy widziała po za zielonkawą szybą Viel Elbeuf, blady i znużony profil Genowefy.

Wieczorami Dyoniza zamyślała się także, patrząc na panny odchodzące ze swymi kochankami. Te co sypiały w Magazynie Nowości, w pokoikach pod strychem, wracały o jedenastej, chyba że której udzielono pozwolenie do teatru; te znikaly bowiem do jutra i przynosiły z sobą do oddziału jakieś nieznanne i odurzające wonie, trące miastem. Młoda dziewczyna musiała nieraz odpowiadać uśmiechem na przyjazne skinienie głowy, witającej ją Pauliny, którą codziennie oczekiwał Baugé na rogu fontanny Gaillon, od godziny wpół do dziewiątej. Wyszędłszy ostatnia, używała chwilowej i zawsze samotnej przechadzki i pierwsza wracała do domu, żeby pracować lub położyć się spać, z głową przepelnioną marzeniami i ciekawością o nieznanem jej życiu. Nie zazdrościła tym pannom; szczęśliwą była ze swej samotności i pustyni, w jakich zamykała się przez lękliwość, jak

by w przytułku; ale wyobraźnia ją porywała; starała się odgadnąć istotę rzeczy; przypominała sobie przyjemności opowiadane jej bez ustanku: kawiarnie, restauracje, teatru, niedziele spędzane na wodzie lub w zamiejskich oberżach. Czuła od tego znużenie umysłu, pragnienia zmieszane ze zmęczeniem i zdawała się być przesyconą tem czego nigdy nie zakosztowała.

Ale mało było czasu na takie rozmyślenia wśród jej pracowitego życia. W magazynie w ciągu trzynasto-godzinnych trudów nie mogli się zajmować czułościami subiekci z pannami sklepowymi. Gdyby nawet ciągła walka o pieniądz nie zacierała różnicy płci, w każdym razie ciągły pośpiech i popychanie się, zajmowały głowy i wyłamywały członki. Bardzo rzadko można było słyszeć o stosunku miłosnym pośród nieprzyjaźni i spoufalenia się koleżeńskiego kobiety z mężczyzną i ciągłych starć pomiędzy oddziałami. Wszyscy byli tylko kólkami, obracanemi ruchem maszyny, wyrzekając się osobistości, skupiając po prostu swe siły w banalnym i potężnym falansterze. Po za domem dopiero powracano do indywidualnego życia, z nagłym wybuchem budzących się namiętności.

Pewnego dnia zobaczyła Dyoniza, że Albert Lhomme, syn przełożonej, wsuwał bilecik w rękę jednej panny z oddziału bielizny, przeszedłszy przedtem kilka razy po sali z miną nibyto obojętną. Nastąpiła wówczas, tak zwana martwa pora

zimowa, ciągnąca się od grudnia do lutego. Miewała więc Dyoniza czas do spoczynku: całe godziny spędzała stojąco, z oczami pograżonemi w głąb magazynu, oczekując klientek. Sklepowe oddziały okryć sąsiadowały z subiektami oddziału koronek, lecz znajomość ich nie sięgała dalej nad śmiałe żarty, zamieniane z cicha. W oddziale koronek był drugi subiekt żartowniś, który prześladował Klarę niememi zwierzeniami, jedynie dla zabawki, bo go tak dalece nie obchodziła, że się nawet nie starał spotkać z nią po za magazynem: w ten sposób z kantoru do kantoru, między tymi panami i pannami, przesyłane były znaki porozumienia się, słowa dla nich tylko zrozumiałe, czasami skryte gawędy z plecami nawpół obróconemi, z miną zamyśloną, a to wszystko dla tego, żeby oszukać okrutnego Bourdoncle'a. Co się tyczy Deloche'a, długi czas poprzestawał na uśmiechaniu się do Dyonizy, potem ośmielił się, szeptał jej przy spotkaniu, przyjazne słówka... Owego dnia, kiedy spostrzegła Alberta, wsuwającego bilecik bielizniarce, w tej samej chwili Deloche zapytał: czy jej smakowało śniadanie; czuł bowiem konieczną potrzebę zaopiekowania się nią, a nie zdołał nic uprzejmiejszego powiedzieć. On także widział ten biały bilecik; spojrział na Dyonizę i oboje zarumienili się na widok intrygi, związanej w ich obecności.

Lecz Dyoniza, pomimo tych gorących technień. budzących w niej powoli kobietę, zachowywała

swój dziecięcy spokój. Tylko spotkanie się z Hutin'em poruszyło jej serce. Zresztą sądziła, że to tylko wdzięczność, że ją ujął swoją grzecznością. Ile razy przyprowadził jaką klientkę do oddziału, Dyoniza była zmieszana. Kilka razy, powracając z kasy, chwyciła się na uczynku, że naddaje niepotrzebnie drogi, aby przejść przez hallę jedwabi, doznając przytem jakiegoś dławienia w gardle. Pewnego popołudnia zastała tam Moureta, który zdawał się ją ścigać wejrzeniem i uśmiechem. Już się nią wcale nie zajmował; czasami tylko zwrócił się z jakąś radą, tyczącą się jej ubrania, albo zażartował z niej jako z nieudanej dziewczyny, nawpół dzikiej, podobnej do chłopca, — z której nigdy nie uda mu się zrobić kokietki, chociaż był do tego zręcznym, jako mężczyzna szczęśliwy w miłostkach. Śmiał się z niej nawet, pozwalał sobie przekomarzać, nie chcąc przyznać się do wrażenia, jakie na nim wywierał wdzięk wątlej dziewczyny z temi osobliwemi włosami. Niemy jego uśmiech przyprawiał ją o drzenie, jak gdyby popełniła błąd jaki. Czyżby wiedział dlaczego przechodzi przez hallę, chociaż sama nie mogłaby wytłómaczyć, co ją tam popycha?

Hutin zresztą niespostrzegał wcale wejrzeń wdzięczności młodej dziewczyny. Te panny nie były w jego guście, udawał nawet, że niemi pogardza, przechwalając się coraz więcej swem nadzwyczajnem powodzeniem z klientkami, jakaś ba-

ronowa została jakby piorunem rażona przy jego kontuarze, a żona budowniczego padła mu w objęcia, gdy się do niej udał pewnego dnia, dla sprostowania pomyłki w mierze. Pod tą chełpliwością normandzką, kryły się dziewczęta brane z piwiarni lub kawiarni koncertowych. Równie jak wszyscy oi młodzi panicze, ulegał on namiętności wyrzucania pieniędzy. Cały tydzień ubiegał się o grosz, jakby chciwy sknera, jedynie w tym celu, żeby puścić go na wiatr w niedzielę: na polu wyścigowym, w restauracjach i na balikach. Nigdy mu nie powstała w głowie myśl o oszczędności; odebrawszy zarobek, zaraz go trwonił, bez żadnej troski o jutro. Favier nie brał udziału w tych wycieczkach, chociaż tak ściśle byli połączeni z Hutin'em w sklepie, wychodząc zegnali się u drzwi i nie mówili więcej do siebie. Wielu subiektów, pomimo ciągłego z sobą obcowania, stawali się obcymi sobie i nic nie wiedzieli nawzajem o trybie swego życia. Lecz Hutin był w przyjaźni z Liénardem; obaj mieszkali w hotelu Smyrneńskim, na ulicy Ś-iej Anny, w domu poczerniałym, zajmowanym głównie przez kantorzystów. Zrana przybywali razem do sklepu, wieczorem zaś, który pierwszy uporządkował swój kontuar, szedł czekać na drugiego w małej kawiarni Ś-go Rocha na ulicy tegoż imienia, gdzie się zwykle zbierali subiekci z Magazynu Nowości, głośno rozprawiając i pijąc, lub też grając w karty wśród dymu fajek. Często przesiadywali

tam do pierwszej w nocy i wychodzili dopiero wtedy, skoro zmęczony gospodarz wypychał ich za drzwi. Lecz od miesiąca spędzali wieczory trzy razy na tydzień w tak zwanym „wyjcu” ¹⁾, na Montmartre; dokąd zapraszali kolegów, ażeby oklaskiwać pannę Laurę, tęgą śpiewaczkę, ostatnią zdobycz Hutina, której talent popierał tak gwałtownem stukaniem laską i takim krzykiem, że już dwa razy policya była zmuszoną uśmierzać jego zapały.

Zima przeszła w ten sposób. Dyoniza otrzymała nakoniec trzy tysiące franków pensyi stałej. Był już czas na to rzeczywiście, bo jej grube trzewiki nie chciały dłużej służyć. Ostatni miesiąc nie wychodziła nawet, żeby się nierozpadły.

— Mój Boże! Jak też panna hałasujesz temi trzewikami! — powtarzała często pani Aurelia z rozdrażnioną miną. — To nie do zniesienia! Co panna masz na nogach?

Tego dnia, kiedy Dyoniza weszła do oddziału w prunelowych bucikach za pięć franków, Małgorzata i Klara zadziwiły się półgłosem, lecz tak aby je usłyszała:

— Patrzno! Źle uczesana zrzuciła kalosze — powiedziała jedna z nich.

— Pewno po nich płakała — odrzekła druga — bo to były kalosze jej matki.

¹⁾ Bégleur.

Ogólne oburzenie powstało w oddziale przeciw Dyonizie, gdy dostrzeżono jej przyjaźń z Pauliną; widziano bowiem brawadę z jej strony, że wchodzi w serdeczny stosunek ze sklepową nieprzyjacielskiego oddziału. Panny ciągle tylko o tem mówiły pomiędzy sobą, szeptały o zdradzie, oskarżały ją, że powtarza w drugim oddziale najmniejsze ich słowa. Wojna pomiędzy okryciami i bielizną rozogniła się z nową gwałtownością i nigdy nie była tak zawziętą. Grube słowa krzyżowały się jak kule, przyszło pewnego wieczoru nawet do policzków, po za pudłami z bielizną. — Być może, iż powodem do wojny było to, że panny od okryć nosiły suknie jedwabne a od bielizny wełniane; w każdym jednak razie, panny od bielizny mówiły o swych sąsiadkach z oburzeniem poczciwych dziewcząt. Fakta mówiły za niemi, bo zauważono, że jedwabie przyczyniają się do rozwiązłości panien od okryć. Klara została spoliczkowaną rojem kochanków; Małgorzatę kluto w oczy dzieckiem, a panią Frédéric pomawiano o namiętności tajone. Wszystko to z powodu tej Dyonizy!

— Proszę się powstrzymywać od brzydkich słów! — odzywała się pani Aurelia swym cesarskim tonem, pośród gniewnych wybuchów rzeszy swych podwładnych. — Pokażcie kim jesteście!

W gruncie zaś nie chciała się w to wdawać i pewnego dnia wytłómaczyła się z tego przed Mouretem w ten sposób, że wszystkie te panny

warte są jedna drugiej. Lecz nagle roznamiętniła się, gdy jej Bourdoncle powiedział, że widział jej syna, ściskającego w suterenie pannę od bielizny tę właśnie, której bilecik wsunął do rąk. To jest ohydne, mówiła, wprost oskarżając oddział bielizny, że zaciągnął Alberta w zasadzkę: cios był do niej wymierzony, żeby ją zbeszcześcić, gubiąc jej niedoświadczone dziecię,—poznano się bowiem, że oddział pozostający pod jej umiejętnym i energicznym kierunkiem jest nie do zdobycia... Dla tego tylko krzyczała tak głośno, żeby wzniecić burzę, gdyż co do syna swego nie miała żadnych złudzeń; wiedziała że jest zdolny do wszystkich głupstw. Chwilowo sprawa ta o mało co się nie stała ważną: rękawicznik Mignot, został w nią wmieszany; przyjaźnił on się z Albertem i chodziły wieści, jakoby taniej sprzedawał towar kochankom przyjaciela, które tenże mu przysyłał. Były to dziewczęta, chodzące bez kapeluszy; całemi godzinami plądrowały mu w pudełkach. — Prócz tego opowiadano historję o szwedzkich rękawiczkach, danych bielizniarce, o której nikt nic pewnego nie wiedział. Nakoniec skandal został przytłumiony, przez wzgląd na panią Aurelię, której nawet Mouret okazywał poważanie. Po upływie tygodnia, Bourdoncle pod jakimś błahym pozorem odprawił ową sklepową, która się pozwoliła uściskać Albertowi. Ci panowie zamykali wprawdzie oczy na straszne hulanki po za

sklepem, ale wewnątrz domu najmniejsze uchylenie było srodze karane.

Na tej całej sprawie, Dyoniza najwięcej ucierpiała. Chociaż pani Aurelia dobrze знаła prawdziwy stan rzeczy, tuiła do niej złość. Spostrzegłszy pewnego wieczora, że się śmieje z Pauliną, wzięła to za lekceważenie i za plotki o miłostkach jej syna. Odtąd odosobniała jeszcze gorzej dziewczynę w oddziale. Oddawna zamyślała ona zawieźć wszystkie panny w którą niedzielę do Rigolles w pobliżu Rambouillet, gdzie kupiła posiadłość za pierwsze sto tysięcy franków oszczędności; teraz niespodzianie postanowiła to uskutecznić: był to sposób ukarania Dyonizy, otwarcie wykluczając ją z towarzystwa. Ona jedna nie została zaproszoną. Na dwa tygodnie z góry, cały oddział mówił tylko o tej wycieczce: badano niebo ogrzane majowem słońcem, obiecywano sobie wszelkie przyjemności: jazdę na osiołkach, mleko, chleb razowy. Lecz najzabawniejsze było to, że będą tylko same kobiety! Pani Aurelia miała zwyczaj dni wolne od zajęć, spędzać na przechadzce z kobietami. Tak była nieprzyzwyczajona do rodzinnego kółka i tak nie swobodna w rzadkich wypadkach, gdy mogła jeść obiad w domu, że wolała nawet i w te wieczory wyprawić rodzinę z domu, a sama chodzić do restauracyi. Lhomme udawał się w swoją stronę, uszczęśliwiony, że może sobie przypomnieć kawalerskie życie; Albert zaś jak na skrzydłach biegł do swoich

łotrzyo. Doszło nakoniec do tego, iż odzwyczajeni od domu, nudząc się i dręcząc sobą w niedzielę, wszyscy troje przemykali się tylko przez mieszkanie jak przez hotel, gdzie się tylko na noc chodzi. Co się tyczy wycieczki do Rambouillet, to pani Aurelia poprostu objawiła, że byłoby nieprzyzwoicie, gdyby się Albert wybrał, a nawet ojciec znajdzie się taktownie, jeżeli pozostanie w mieście. Obaj byli tem bardzo uszczęśliwieni. Tymczasem oczekiwany dzień zbliżał się, panny ciągle mówiły o swych toaletach, jak gdyby chodziło o półroczną podróż, a Dyoniza musiała tego słuchać, blada i milcząca, wśród swego opuszczenia.

— Cóż, chcą cię doprowadzić do rozpacz — rzekła pewnego poranku Paulina. — Jabym je na twojem miejscu zawstydziła! Jak one się bawią, tak i ja bym się bawiła! Zechciej nam tylko towarzyszyć w niedzielę; Baugé namawia mię do Joinville.

— Nie, dziękuję; — odpowiedziała dziewczyna ze swym spokojnym uporem.

— Ale dlaczego?... Czy się obawiasz natarczywości? — pytała Paulina, śmiejąc się serdecznie. Dyoniza także się uśmiechała. Wiedziała ona jak się podobne rzeczy układają: na takich wycieczkach, każda z panien poznała się ze swym pierwszym kochankiem, z przyjacielem niby to przypadkiem zaproszonym; a właśnie tego nie chciała

— Przysięgam ci, że Baugé, nikogo nie zaprosi, rzekła znów Paulina. Będziemy tylko we troje. Kiedy ci się to niepodoba, bądź pewna, że cię swatać nie będę.

Dyoniza wahała się, opanowana taką chęcią że jej krew uderzała do twarzy. Od czasu kiedy jej koleżanki, opowiadały o przyjemnościach wiejskich, dusiła się, porywana potrzebą odetchnięcia wolnem powietrzem, myśląc o bujnej trawie, w której by się chowała aż po ramiona, o wysokich drzewach, których cień orzeźwiałby ją, jak woda. Przypominało jej się dzieciństwo spędzone na wonnych łąkach Cotentin i tęskniła za słońcem.

— A więc dobrze — powiedziała nakoniec

Wszystko było ułożone. Baugé, miał przyjść po nie o ósmej rano, na plac Gaillon; ztamtąd dorozką mieli się udać na dworzec kolei Vincennes, Dyoniza, której dwadzieścia pięć franków miesięcznej pensyi zjadały dzieci, mogła tylko odświeżyć swą czarną wełnianą sukienkę, ozdabiając ją ukosami z popeliny w drobne kratki. Sama sobie też zrobiła jedwabną kapotkę z błękitną wstążką. Wtem prostem ubraniu wyglądała bardzo młodo: jakby dziewczyna nad wiek wyhulała. Ubóstwo jej było schludne. Trochę się wstydziła przepysznych swych włosów, bo ją w kłopot wprowadzały, wydobywając się z pod lichego kapelusika. Paulina zaś wystąpiła w wiosennej sukni jedwabnej, w paski białe i fioletowe

i w strojnym kapeluszu obciążonym piórami; miała przytem pełno świecideł na szyi i rękach, jak to jest w zwyczaju zamożniejszych panien sklepowych. Dla niej ta jedwabna suknia była jakby wynagrodzeniem za cały tydzień, bo w dnie powszednie skazaną była na wełnę w swoim dziale. Dyoniza przeciwnie, dźwigała jedwabie od poniedziałku do soboty, w niedzielę zaś ubierała się w swoją nędzną wełniankę.

— Baugé — powiedziała Paulina, wskazując na wysokiego młodzieńca, stojącego przy wodotrysku.

Paulina przedstawiła swego kochanka, a Dyoniza uczuła się zaraz swobodniejszą, tak jej się wydawał uczciwym człowiekiem. Baugé, był ogromnego wzrostu, silny jak byk, miał twarz podłużną flamandzką i oczy bez wyrazu, uśmiechające się z dziecięcą prostotą. Urodzony w Dunkierce, był młodszym synem kupca korzennego; przybył do Paryża, prawie wypędzony przez ojca i brata, — którzy go uważali za głupca. Co prawda, był strasznie tępy, ale zawsze zdatny do sprzedaży płótna. Kobiety znajdowały go ponętnym.

— A dorożka? — spytała Paulina.

Trzeba było iść aż do bulwaru. Słońce już dopiekało, piękny majowy poranek ozywiał ulice; ani jednej chmurki nie było na niebie, wesołość przepęlniała powietrze przezroczyste jak kryształ. Mimowolny uśmiech przebiegał po ustach

Dyonizy, oddychała swobodniej, zdawało się, że z piersi jej spadł ciężar, przygniatający ją od pół roku. Nie czuła już dokoła siebie ścieśnionej atmosfery sklepowej, ani też ciężkich murów Magazynu Mód. Miała przed sobą cały dzień spędzony swobodnie wśród wiejskiego powietrza. Było to dla niej jakby powrotem do zdrowia, radością bez końca; rozpoczynała ten dzień pod wrażeniem nowych uczuć płochej dziewczyny. Jednakże w dorożce, odwróciła oczy ze wstydem, gdy się Paulina nachyliła, żeby głośno pocałować swego kochanka.

Wychyliwszy głowę z dorożki, zawołała:

— Widzisz, Lhomme! Jak prędko idzie! Nie sie swoją trąbkę, — dodała Paulina, wychylając się także. Stary waryat! Moznaby przypuścić, że śpieszy na schadzkę.

Rzeczywiście Lhomme, trzymając pod jedynem swem ramieniem, trąbkę w futerale, przemykał się wzdłuż Gymnase, uśmiechając się radośnie, do spodziewanej uczy. Szedł na cały dzień do swego przyjaciela flocisty z jednego teatrzyku, u którego co niedziela zbierali się amatorowie na pokojową muzykę, zaraz po rannej kawie.

— O ósmej godzinie zrana, co za pośpiech szalony! — mówiła dalej Paulina. Pani Aurelia z całą swoją kliką musiała wyjechać do Rambouillet, pociągiem odchodzącym o szóstej minut dwadzieścia pięć. Z pewnością nie spotkają się z sobą ci małżonkowie.

Obie zaczęły potem rozmawiać o wycieczce do Rambouillet. Nie życzyły one deszczu innym bo i sameby się skąpały, ale gdyby się tam wylała chmura nie zaczępiwszy o Joinville, byłoby to jednak bardzo zabawne. Następnie mówiły o Klarze, o tej marnotrawnicy, która nie wie jak trwonić pieniądze, łożących na jej utrzymanie; kupiła naraz trzy pary bucików, które nazajutrz wyrzuciła, pociąwszy je nożyczkami, bo uwierały jej nogę pełną guzów. Zresztą panny, nie były wcale rozważniejsze od panów z Magazynu Nowości; przejadały wszystko, nie oszczędzając grosza na przyszłość. Dwieście lub trzysta franków miesięcznie, całe mienie swoje, trwoniły na stroje i łakocie.

— Ależ on ma tylko jedną rękę, jakże może grać na trąbce? — spytał Baugé.

Nie spuszczał z oka Lhomme'a. Wówczas Paulina, lubiąca żartować z jego naiwności, powiedziała, że kasyer opiera instrument o ścianę, czemu uwierzył, znajdując ten pomysł bardzo dowcipnym. Ale kiedy, żalując swego żartu, zaczęła objaśniać w jaki sposób Lhomme zastępuje sobie brak ręki przy pomocy pewnych szczypczyków, potrząsał głową z niedowierzaniem, mówiąc, że nie da w siebie tego wmówić.

— Jakiżes ty głupi! — zawołała ze śmiechem Paulina. Ale to nic nie szkodzi, ja cię jednak Kocham.

Dorożka rączo jechała i trafili w sam czas na pociąg. Baugé, zapłacił za bilety, ale Dyoniza zapowiedziała, że się chce przyczynić do wydatków; wieczorem mieli się obrachować.

Wsiedli do drugiej klasy, pośród głośnych wybuchów wesołości, dolatujących z wagonów. — W Nogent, wysiadł rozochocony orszak weselny. Przybywszy nakoniec do Joinville, udali się zaraz na wyspę, żeby zamówić śniadanie i pozostali tam, pod wysokimi topolami, rosnącemi na brzegu Marny. W cieniu było chłodno, świeży powiew napełniał powietrze, na drugim brzegu przy blasku słońca, widać było rozciągające się pola uprawne na płaszczyźnie. Dyoniza zwalniała kroku, po za Pauliną i jej kochankiem, którzy szli objąwszy się wpół; zerwała kilka jaskrów, patrzyła na wodę bieżącą, szczęśliwa, z przepętnionem sercem, spuszczać głowę, gdy Baugé nachylał się, żeby pocałować w kark swą przyjaciółkę. Oczy jej zasły łzami. Przecież niedoświadczała żadnych cierpień: więc cóż ją tak dławilo? dla czego ta rozległa wieś, gdzie obiecywała sobie zupełną swobodę, napełniała ją jakimś nieokreślonym żalem, którego przyczyny nie mogła sobie wytłómaczyć? Przy śniadaniu, głośnie wybuchy śmiechu Pauliny, drażniły ją. Ta dziewczyna lubiąca przedmieścia z namiętnością lichy aktorki, żyjącej wśród gazu w ścieśnionem powietrzu miejsc tłunnych, chciała zasiąść do śniadania w altanie, pomimo chłodnego wiatru. Bawiło ją: powiew zdzierający obrus ze stołu,

śmieszyła altana z nowopomalowanej klatki, ogolonej jeszcze z liści, której kontury odbijały się na nakryciu. Jadła łakomo, będąc źle żywioną w magazynie. Opychała się ulubionemi potrawami, aż do niestrawności. Obżarstwo było zresztą główną jej wadą; wszystkie pieniądze wydawała na ciastka, łakocie i surowizny, pożerane w wolnych chwilach. Dyoniza nasycona jajami, smażoną rybą i kurczęciem, nie śmiała żądać posiomek, nowalii zbyt jeszcze drogiej, żeby nie powiększyć rachunku.

— Cóż teraz poczniemy? — zapytał Baugé, gdy wypili kawę.

Zwykle po południu oboje z Pauliną wracali do Paryża, aby zakończyć dzień w teatrze. Ale czyniąc zadosyć życzeniom Dyonizy, postanowili zostać Joinville; zresztą wydawało im się to zabawne, użyć wsi po uszy. Całe popołudnie przechadzali się po polach. Chcieli potem przejechać się łódką, lecz zaniechali tego, gdyż Baugé nie umiał wiosłować. Włóczyli się jednakże po brzegach Marny; życie rzeczne ich zajmowało, przypatrywali się eskadrze łodzi żaglowych i norweskich, oraz flisakom żeglującym. Słońce się zniżało, wracali już zatem do Joinville, kiedy dwie żaglowe łodzie, prześcigając się, zamieniały obelgi, wśród których górowały słowa: „kapelusze skórzane”¹⁾ i „perkaliki”.

¹⁾ *Bousingot*, kapelusz marynarski, przezwisko nadane republikanom francuzkim po r. 1830.

— Czy to nie pan Hutin? — zawołała Paulina.

— A tak, — podchwycił Baugé, zasłaniając ręką oczy od słońca — poznaję łódź mahoniową... Drugą muszą zajmować studenci.

Zaczął opowiadać o starej nienawiści, powodującej częste starcia, między młodzieżą szkolną a kantorowiczami. Dyoniza, usłyszawszy imię Hutin'a nagle się zatrzymała; z naprężonym wzrokiem śledziła za łódką pomykającą jak strzała, szukając młodzieńca pomiędzy wioślarzami; lecz mogła dojrzeć tylko kobiety, jak dwie białe plamy, z których jedna, w czerwonym kapeluszu, siedziała przy rudlu. Głosy ginęły wśród szmeru rzeki :

— Do wody kapelusze!

— Perkaliki do wody!

Wieczorem weszli do restauracyi na wyspie; ale ponieważ powietrze się oziębiło, trzeba było zasiąść do jedzenia w jednej z dwóch sal, gdzie wskutek wilgoci zimowej, obrusy czuć było jak by praniem. O szóstej godzinie zabrakło stołów; spacerujący tłoczyli się, szukali kącika, a chłopcy miejscowi ciągle znosili krzesła i ławki, zściśniali talerze i zapychali miejsca ludźmi. Duszo no się do tego stopnia, że trzeba było otworzyć okna. Nastąpił już zmierzch, topole rzucały cienie tak nagle, że restaurator nieprzygotowany do nakrywania stołów w pokoju, w braku lamp, musiał postawić po jednej świecy na każdym stole. Hałas stawał się ogłuszający od śmiechów, nawo-

ływań i brzęku naczyń; płomienie chwiałały się a świece topniały od wiatru; motyle nocne latały w ogrzaniem przez zapachy mięsa powietrzu, które przenikały zimne powiewy.

— Alez się bawią! — mówiła Paulina pogrążona w potrawie z ryb, którą nadzwyczaj chwaliła. Pochyliwszy się dodała:

— Nie poznaliście pana Alberta... tam?

Był to rzeczywiście młody Lhomme pośród trzech dwuznacznych kobiet: jedna z nich była to stara kobieta, w żółtym kapeluszu z nikiemną miną stręczycielki i dwie nieletnie dziewczęta, może lat trzynastu lub czternastu, żenująco wyuzdane. On zaś już dobrze podpiły, stukał o stół szklanką, grożąc że obije garsona, jeżeli mu natychmiast nie poda likworów.

— Piękna mi familijka! — odezwała się Paulina. Matka w Rambouillet, ojciec w Paryżu, a synek w Joinville. Jedno drugiemu nie przeszkadza.

Dyoniza, nienawidząca hałasów, uśmiechała się jednak, rada, że nie może myśleć wśród tej wrzawy. Lecz nagle w sąsiedniej sali, powstał głos przygłuszający wszystkie inne. Było to wycie, po którym musiała nastąpić bójka, bo słychać było popychanie, przewracanie krzeseł, walkę i te same okrzyki co nad rzeką:

— Do wody perkaliki!

— Kapelusze do wody!

Skoro głośne wołanie oberżysty położyło koniec wojnie, zjawił się niespodzianie Hutin. W czerwonej bluzie, w kapeluszu zsuniętym na tył głowy, prowadził pod rękę, wysoką białą dziewczynę z przed rudła, która aby uczcić kołory łodzi, przypięła za uchem bukiet z maków polnych. Przyjęto ich okrzykami i oklaskami, on promieniał, wydymał pierś i kołysał się, udając ruchy marynarza; popisывał się sińcem na spuchniętym policzku, przejęty radością, że zwraca na siebie uwagę. Za nim szedł cały personel łodzi. Stół zdobyli sobie szturmem i wszczął się jeszcze większy hałas.

Baugé przysłuchujący się uważnie rozmowie po za sobą powiedział:

— Zdaje się, że studenci poznali tę kobietę idącą z Hutinem, znaną oddawna w dzielnicy, śpiewającą teraz w „wyjcu” na Montmartre; dla niej powstała bójka... Ci studenci nigdy nie płacą kobietom.

— W każdym razie — rzekła Paulina z obrażoną miną — strasznie jest brzydką z temi włosami koloru marchwi! Doprawdy chciałabym wiedzieć, z kąd je pan Hutin bierze, bo jedna brudniejsza od drugiej.

Dyoniza zbladła, lodowate zimno powoli ją ogarniało, jak gdyby cała krew uszła z serca. Jeszcze na rzece, widząc chyżą łódź, uczuła pierwszy dreszcz, teraz zaś wątpić już nie mogła, że ta dziewczyna jest w bliskim stosunku z Hu-

tin'em. Czyżby go miała kochać, kiedy tak cierpi? Wśród bolesnego zamieszania uczuć, nawet sobie nie odpowiadała. Czując dławienie w gardle i trzęsienie rąk, przestała jeść.

— Co ci jest, droga? Zapytała przyjaciółka.

— Nic, trochę tu za gorąco. — Wymówiła z cicha Dyoniza.

Ale stół Hutin'a był obok. Ujrzawszy znanego sobie Baugé, rozpoczął bardzo głośno rozmowę, zeby wciąż zwracać na siebie uwagę.

— Powiedz mi — krzychał — czyście wy zawsze cnotliwi w waszem Bon Marché?

— Nie tak bardzo — odpowiedział zaczerwieniony Baugé.

— Tam tylko dziewice przyjmują i jest konfesyonał dla subiektów, którzy na nie spoglądają. Piękny mi dom, gdzie się żenią, dziękuję!

Zaczęto się śmiać: Liénard, należący do tego towarzystwa, dodał:

— To nie tak jak w Luwrze: tam jest etatowa akuszerka w dziale okryć. Słowo honoru!

Wesołość wzrosła. Paulina śmiała się jak szalona, tak ją ta akuszerka zabawiła. Lecz Baugé był oburzony żartami z czystości obyczajów jego domu, więc nagle zawołał:

— Piękni i wy jesteście w Magazynie Nowości. Wyrzucają was za drzwi, za jedno słowo i macie pryncypała, który tak wygląda, jakby hakami przyciągał klientki.

Hutin' go nie słuchał, zajęty wychwalaniem Placu Clichy. Poznał tam młodą dziewczynę tak przyzwoitą, że damy nie śmiały zwracać się do niej, aby jej nie upokorzyć. Potem przysunąwszy nakrycie opowiadał, iż uciulał tysiąc pięćset franków w ciągu tygodnia. O! był to tydzień gładki! Favier pozostał przy pięćdziesięciu dwóch franków. Upiwszy się na dobre uczeplił się Robineau'a, drugiego subiekta, który się zawsze trzyma zdaleka, do tego stopnia, że na ulicy, nie chce się pokazywać obok młodszego. Nie dziwiłbym się, gdyby to był taki Bouthemont naprzykład, bo musi zachować powagę, ale panu Robineau, nie wolno mieć tak wysokich pretensyj.

— Cicho bądź — odezwał się Liénard — za wiele mówisz, mój kochany!

Gorąco wzmagało się; świece spływały na obrus zaplamiony winem; krzyki się uśmierzały, przez okna dolatywały odgłosy rzeki i szmer topól, zasypiających wśród ciszy nocnej. Baugé zażądał rachunku, widząc że Dyonizie słabo, że zbladła okropnie i podbródek jej drgał od powstrzymywanych łez; ale garson nie zjawiał się, była więc zmuszoną słuchać jeszcze wybuchów Hutin'a. Teraz miał siebie za daleko więcej *chic* od Liénard'a, który używał spokojnie funduszków swego ojca, wówczas kiedy on tracił swój zarobek, owoc swej inteligencji. Baugé zapłacił nakoniec należność i uprowadził swe damy.

— To sklepowa z Luwru, szepnęła Paulina w pierwszej sali, przyglądając się wysokiej szcuplej dziewczynie kładącej na siebie okrycie.

— Nie znasz jej... skądże możesz to wiedzieć — rzekł młodzieniec.

— Czyż nie dość widzieć sposób ubierania się? To z działu akuszerki. Jeżeli to słyszała, musi być rada.

Wyszli na dwór. Dyoniza odetchnęła swobodniej. Tam zdawało jej się, że umiera, w tym duszącem gorącu, pośród tych krzyżów i przykre swe uczucia kładła na brak powietrza. Teraz mogła oddychać: chłód spadał z gwiazdzistego nieba. Gdy dziewczęta wychodziły z ogrodu, nieśmiały głos przemówił w ciemnościach.

— Dobry wieczór paniom!

Był to Deloche. Nie widziały go w głębi pierwszej sali, gdzie siedział sam jeden, dla przyjemności odbywszy ten spacer pieszo z Paryża. Dyoniza czując się cierpiącą, uległa potrzebie wsparcia się na kimś.

— Panie Deloche, wracasz z nami — powiedziała — podaj mi więc ramię.

Paulina i Baugé szli już naprzód, zdziwiło ich to... Niespodziewali się, żeby to się stało w taki sposób i z tym chłopcem. Mając jeszcze całą godzinę przed odejściem pociągu, szli aż do końca wyspy, brzegiem rzeki, pod wielkimi drzewami. Obracając się co chwila, mówili do siebie:

— Gdzie się oni podzieli? Ach! idą! Jednakże to jakoś dziwnie.

Z początku Dyoniza i Deloche, zachowywali milczenie. Zwolna gwar restauracyjny ucichał, przypominając dźwięki oddalonej muzyki pośród nocnych ciemności. Coraz bardziej zagłębiali się w chłód drzew, rozgrzani jeszcze tym piecem ognistym, którego płomienie świec, nikły jeden po drugim, za liśćmi. Przed nimi był jakby mur ciemności, zbita masa cieni, w której znikwały pnie i gałęzie drzew i taki był zmrok, że nawet ścieżki nie było widać. Jednakże posuwali się powoli bez obawy. Potem, gdy oczy ich oswoiły się, spostrzegli na prawo pnie topoli, podobne do ciemnych kolumn, podtrzymujących kopułę z liści, zasianą gwiazdami; podczas kiedy na lewo, chwilami woda w ciemności migotała, jak powierzchnia stalowego zwierciadła. Wiatr ustał i słychać było tylko szmer wody.

— Cieszę się bardzo że panią spotkał — wybąkał Deloche, odważając się na koniec pierwszy przemówić. Pani nie wiesz, jaką mi to sprawa przyjemność, że chcesz przechadzać się ze mną.

Potem pod osłoną cieni, po długim i zawilym wstępie, ośmielił się wyznać, że ją kocha. Oddawna chciał do niej napisać; ale pewnoby się o tem nie dowiedziała, gdyby nie ta noc, ta woda śpiewająca i drzewa okrywające go swemi liśćmi. — Nic mu nie odpowiadała i szła oparta na jego ramieniu, krokiem znamionującym cierpienie. Sta-

rał się dojrzsć jej twarz, lecz wtem usłyszał ciche łkanie.

— O! mój Boże! pani płaczesz! - wykrzyknął. Czy sprawiłem ci przykrość?

— Nie! nie, — wyszeptała.

Siliła się powstrzymać łzy, ale napróżno. Przy stole już myślała, że jej serce pęknie. Obecnie zaś w ciemności, pozwoliła płynąć łzom, które ją dławily i myślała o tem, że gdyby Hutin był na miejscu Deloche'a i prawil jej czulości, byłaby wobec niego bezsilną. To wyznanie przed sobą uczynione, zmięszało ją bardzo. Płonęła jej twarz ze wstydu, jakby już padła pod temi drzewami w objęcia tego młodzieńca, który tak jawnie paradował z dziewczętami.

— Nie chciałem panią obrazić — powtarzał Deloche, gotów rozplakać się także.

— Posłuchaj pan — powiedziała głosem jeszcze drżącym, wcale się nie gniewam; tylko proszę, żebyś się do mnie w ten sposób, więcej nie odzywał. To czego żądasz, jest niepodobieństwem. Zacny z pana chłopiec, pragnę więc być twoją przyjaciółką, ale niczem więcej, rozumiesz?

Drżał cały i uszedłszy kilka kroków w milczeniu, wybąkał:

— Słowem, pani mię nie kochasz?

Ponieważ przez litość nie chciała go zasmucić zabójczem „nie”, przemówił znowu głosem słodkim i wzruszonym.

— Zresztą, spodziewałem się tego... Mnie się jeszcze nic nie powiodło; wiem, że nie mogę być szczęśliwym. W domu mnie bito, a w Paryżu jestem celem naigrawań. Bo to widzi pani, kto nie umie innym odbierać kochanek i nie jest dosyć zręcznym, żeby tyle pieniędzy zarobić co inni, powinien w jakimś kącie umrzeć odrazu. O! bądź pani spokojna, nie będę cię już dręczył. Ale kochać nie możesz mi zabronić, prawda? Będę cię kochał bezinteresownie. Tak to, tak!... taka moja dola...

Teraz on wybuchnął płaczem. Dyoniza starała się go pocieszyć i wśród tej serdecznej gawędy, dowiedzieli się, że są z jednych stron: ona z Valognes, on zaś tylko o trzy mile dalej, z Briquibec. Ojciec jego ubogi woźny, chorobliwie zardzośny, ćwiczył go nazywając bękartem; drażnił go bowiem długą, żółtawą twarzą i konopiastymi włosami, które jak mówił, nieznane były w jego rodzinie. Powoli zaczęli rozmawiać o łąkach ogrodzonych żywopłotem, o zacienionych ścieżkach kryjących się pod wiązami, o ulicach porośniętych trawą, jakby w parku. Dokoła nich noc zapadała coraz więcej, widzieli trzcinę rzeczną, koronkę z cieniów czarnych pod migotaniem gwiazd; spokój w nich wstępował i oboje zapominali o swych cierpieniach. Prześladowujące losy, połączyły ich koleżeńską przyjaźnią.

— No i cóż? — zapytała żywo Paulina, biorąc Dyonizę na stronę, gdy przybyli na stację.

Zrozumiawszy jej uśmiech i ton tkliwej ciekawości, mocno się zaczerwieniła i rzekła:

— Ależ nigdy, moja kochana! Powiedziałam ci, że nie chcę!... on jest z jednych stron ze mną... Więc mówiliśmy o Valognes.

Paulina i Baugé nie radzi byli temu, wbiwszy sobie już w głowę co innego; sami nie wiedzieli co myśleć.

Deloche pożegnał ich na placu Bastylii; jak wszyscy młodzi ludzie, pozostający tylko na procencie od sprzedaży, sypiał on w magazynie, gdzie o jedenastej musiał być z powrotem. Nie chcąc z nim iść do domu Dyoniza, która uzyskała pozwolenie do teatru, zgodziła się towarzyszyć Paulinie do Baugé, który ażeby być bliżej kochanki, mieszkał na ulicy Ś-go Rocha. Wsiadli w dorożkę i Dyoniza osłupiała, dowiedziawszy się w drodze, że Paulina spędzi noc u kochanka. Było to rzeczą bardzo łatwą, płaciło się za to panni Cabin i wszystkie panny tak się urządzały.

Baugé robił honory w swoim pokoju, gdzie miał stare meble z czasów cesarstwa, przysłane mu przez ojca. Rozgniewał się naprzód, gdy Dyoniza chciała uregulować rachunek, ale skończyło się na tem, że przyjął piętnaście franków, które położyła na komodzie. Chcąc poczęstować gości herbata, mordował się nad maszynką na spirytusie i musiał zejść raz jeszcze po cukier. Była północ, kiedy ponalewał filiżanki.

— Trzeba już iść — powtarzała Dyoniza.

Paulina zaś odpowiadała :

— Czekał! Teatrów nie zamykają tak wcześnie.

Dyoniza była zenowaną w tym kawalerskim pokoju. Widziała jak przyjaciółka, rozebrawszy się, pozostała w spódnicy i w gorsecie; patrzyła jak ściele łóżko i zbija poduszki, obnażonemi rękami. Całe to urządzenie sobie nocy miłosnej, wobec niej, wzburzało ją i zawstydzalo, budząc na nowo w zranionem sercu pamięć o Hutin'ie. Jeszcze raz uczuła, że byłaby bezsilną. Takie dni wcale nie wychodzą na dobre. Nakoniec opuściła ich o kwadrans na pierwszą. Odeszła bardzo zawstydzona, kiedy w odpowiedzi na jej niewinne życzenie dobrej nocy, Paulina zawołała trzpiotowato :

— Dziękuję, dobra będzie noc...

Oddzielne drzwi, prowadzące do mieszkania Moureta i pckoi subiektów, wychodziły na ulicę Neuve-Saint-Augustin. Pani Cabin je otwierała poczem markowała czas przybycia. Na dole paliła się nocna lampka i Dyoniza znalazła się w tem świetle, wyczekująca, opanowana trwogą, bo wychodząc z po za rogu ulicy, widziała drzwi zamykające się za cieniem mężczyzny. Musiał to być pryncypał, wracający z wieczoru i myśl, że on tam jeszcze może być, w tych ciemnościach, kto wie nawet, czy nie oczekujący na nią, wprawiła ją w ten dziwny strach, jakiego dotąd doznawała w jego obecności, chociaż nie było powodu. Ktoś

się poruszył na pierwszym piętrze, buty zaskrzy-
piały. Wówczas tracąc głowę, pchnęła drzwi
wiodące do magazynu, które pozostawiono otwar-
te, dla rondu nadzorczego i znalazła się w dziale
wyrobów z Rouen.

— Mój Boże, co począć? — odezwała się gło-
śno, w swem pomieszaniu.

Przyszło jej na myśl, że na górze są drugie
drzwi, prowadzące do pokojów. Trzeba było je-
dnak przejść przez cały magazyn; ale wołała to
uczynić pomimo ciemności ogarniających galeryę.
Ani jeden płomień gazowy nie płonął, paliły się
tylko lampy olejne, przyczepione gdzie nie gdzie
do zyrandoli. Te rozproszone światelka, podobne
były do żółtych plam, przy półkach sklepowych,
pogrążonych w cieniach i przypominały latarki
górników w kopalniach. Wśród ogromnych cie-
ni, trudno było dokładnie widzieć towary, które
przybierały przestraszające kształty podruzgota-
nych kolumn, przykucniętych zwierząt i kryją-
cych się złodziei. Ciężkie milczenie, przerywane
dalekiem chrapaniem, wzmagalo jeszcze te cie-
mności. Jednakże prędko się zorientowała, białe
towary na lewo widniały blado, jak niebieskawy
blask domów pod letniem niebem. Chciała na-
tychmiast przejść przez hallę, ale się potknęła
o stopy płócienek; rozważyła więc, że lepiej
przejść przez wyroby pończosznicze a potem przez
wełniane tkaniny. Tam ją przestraszyło chrapa-

nie: był to Józef, chłopiec śpiący po za żalobnemi towarami, poskoczyła szybko do balli, oświetlonej dachem szklannym; wydawała się ona większą i straszniejszą, jakby kościół w porze nocnej, z powodu nieruchomych półek i odbicia długich metrów, przedstawiających się jakby obalone krzyże.

Teraz zaczęła uciekać. W działach drobnych towarów i rękawiczek, o mało co znowu nie potknęła się o śpiących chłopców służebnych. Wówczas uważała się za ocaloną gdy się dostała na wschody. Lecz na górze w dziale okryć, przeszły ją dreszcze, spostrzegła bowiem migotanie zbliżającej się latarki: był to rond, złożony z dwóch strażaków, oznaczających swe przejście na odpowiednich tablicach. Stała chwilę, nie tego nie rozumiejąc; patrzyła jak przechodzili od szali do mebli, a ztamtąd do bielizny. Przestraszona była temi dziwacznymi manewrami i zgrzytem klucza w zamku, otwierającym drzwi z takim hałasem, jakby szli na rzeź. Gdy się do niej zbliżali, skoczyła w głąb sali koronek; ale czyjś głos wypędził ją ztamtąd i prędko podążyła do wewnętrznych drzwi.

Poznała, że to Deloche się odezwał; sypiał on w swym dziale na małym żelaznym łóżku, które sam co wieczór ustawiał; nie usnął jeszcze, tylko z otwartymi oczami wspominał słodkie chwile tego wieczoru.

— Jakto, więc to panna! — rzekł Mouret, którego Dyoniza ujrzała przed sobą na wschodach ze stoczkiem w rękach.

Zaczęła coś bąkać; chciała się tłumaczyć, że przyszła czegoś szukać w dziale... lecz on wcale się nie gniewał, patrzył na nią po swojemu, z miłą ojcowską i zarazem zaciekawioną.

— Miałaś pani widać urlop do teatru?

— Tak, panie.

— I cóż, zabawiałaś się? W jakim teatrze byłaś?

— Ja byłam na wsi.

Rozśmieszyło go to. Potem się spytał, naciskając na każdym wyrazie:

— Sama jedna?

— Nie panie, z przyjaciółką — odpowiedziała rnmieniając się, zawstydzona tą myślą, że ją musiał posądzać.

Wówczas zamilkł, ale wciąż patrzył na nią, ubrana jak zwykle w czarną sukienkę i kapeluszek przystrojony tylko wstążką niebieską. Czyby z tego dziecka miała się zrobić ładna dziewczyna? Pachniała jeszcze wolnem powietrzem i ślicznie jej było z potarganemi włosami na czole. A on, który od pół roku traktował ją jak dziewczynkę, dając jej niekiedy rady, powodowany doświadczeniem i złośliwą ciekawością, jak się kobieta gubi w Paryżu, przestał się śmiać i doznawał nieopisanego uczucia zdziwienia, obawy oraz tkliwości. Bezwątpienia musiał ją

kochanek tak wypięknić. Na tę myśl zdawało mu się, że ulubiony jego ptaszek dziobnął go do krwi.

— Dobranoc panu — szepnęła Dyoniza wstępując po wschodach.

Nic nie odpowiedział, tylko patrzył za znikającą; poczem wszedł do siebie.

ROZDZIAŁ II.

Skoro nastąpiła martwa pora letnia, w Magazynie Nowości powiał wiatr panicznej trwogi. Był to straszny czas: dyrekcya wydalala całe gromady, opróżniając magazyn na upały lipcowe i sierpniowe, kiedy się klientki rozjeżdżają.

Mouret wspólnie z Bourdonclem odbywał rano zwyczajny przegląd. Biorąc na bok naczelników kantorowych, których zimą zmuszał do przyjmowania subiektów nad rzeczywistą potrzebę, z obawy, żeby z braku ich, sprzedaż nieucierpiała, kazał im zatrzymywać tylko najzdolniejszych, wyrzucając na bruk trzecią część, mianowicie słabszych, dających się poźreć silniejszym.

— Macie takich, którzy nie są zdolni—mówił.— Przecież ich nie można zostawić, żeby siedzieli z założonemi rękami.

Jeżeli zaś naczelnik wahał się, nie wiedząc kogo poświęcić, dodawał:

— Sześciu subiektów powinno wystarczyć. Na bierzecie nowych w październiku... dosyć się waleśa po ulicach.

Spełnienia wyroków podejmował się Bourdoncie. Z wążkich jego ust wychodził ten okropny rozkaz: „Idź pan do kasy!” spadający jak ciężkie siekiery. Wszystko mu służyło za pozór do odprawienia biedaków. Wymyślał przewinienia, chwycił się najłżejszego zaniedbania: Siedziałeś pan, idź do kasy! — Śmiesz pan odpowiadać, idź do kasy! — Obuwie masz niewyszuwaksowane, idź do kasy! Najodważniejsi drżeli wobec krwawych śladów, jakie po sobie zostawiał. Gdy mechanizm ten niedość prędko działał, wynalazł rodzaj samolówki, w której w ciągu kilku dni uduśił bez zmęczenia z góry określoną liczbę skazanych na wygnanie. Od ósmej godziny stał przy drzwiach z zegarkiem w ręku i za trzy minuty opóźnienia, był nieubłagany: Idź pan do kasy! wołał na zdyszanych biegiem młodzieńców. Szło mu to prędko i gładko, aż miło.

— Masz pan twarz brudną— powiedział nakońiec pewnego dnia biedakowi, którego krzywy nos go drażnił:—Idź do kasy!

Protegowani dostawali dwutygodniowy urlop, za który to czas nie płacono im wprawdzie, jednakże taki sposób zmniejszenia wydatków bardziej był ludzki. Zresztą subiekci godzili się ze swoim położeniem zawisłem od łaski, pod przymocą konieczności i przyzwyczajenia. Od chwili przybycia do Paryża, zmieniali oni ciągle miejsca zaczynając zawód swój na prawo, kończąc go na lewo. Byli odprawiani albo sami się oddalali i to

nagle, spuszczać się na los szczęścia. W fabryce nie było roboty, odbierano więc chleb robotnikom i wszystko to zależało od ruchu maszyny: niepotrzebne kółka były najspokojniej wyrzucone, jakby zardzewiałe żelazo, dla którego nie czuje się najmniejszej wdzięczności za spełnioną w swym czasie robotę. Któż im winien, że nie potrafil skorzystać z okoliczności.

Obecnie o tem tylko mówiono w oddziałach. Codzień kursowały nowe historie. Wymieniano imiona odprawionych, jak w czasie epidemii liczy się umarłych. Oddziały szali i wełnianych wyrobów, najbardziej ucierpiały: sześciu subiektów znikło w jednym tygodniu. Potem odegrał się dramat w oddziale bielizny, gdzie jednej klientce słabo się zrobiło i obwiniała o to sklepową, która jakoby objadła się czosnku. Natychmiast biedaczka ta została wydalona, chociaż cierpiąc w skutek złego pożywienia, gryzła tylko skórki od chleba. Dyrekcyja okazała się nieubłaganą: za najmniejszą skargą klientki żadnych nie przyjmowała wymówek. Subiekci i panny zawsze byli winni i musieli zniknąć jak wadliwe instrumenta, psujące dobry mechanizm sprzedaży. Koledzy spuszczały głowy, nie próbując nawet ich bronić. Wśród ogólnej paniki, każdy drżał o siebie. Pewnego dnia Mignot wyjął z pod paltota pakiet, a było to zakazane; tylko co nie został schwytyany na uczynku i sądził, że go na bruk wyrzucą; Liénard, znany z lenistwa, dzięki tylko powadze

swego ojca, znanego kupca nowości—ocalał, chociaż Bourdoncle pewnego dnia spostrzegł, że spał stojący, pomiędzy dwoma stosami aksamitu angielskiego. Najwięcej niepokoił się małżonkowie Lhomme, oczekując lada dzień wydalenia synka swego, Alberta; dyrekcyja była strasznie niezadowolona z jego prowadzenia kasy, kobiety przychodziły zawracać mu głowę i już dwa razy pani Aurelia zmuszoną była błagać dla niego łaski.

Dyoniza wśród tego wymiatania, była tak zagrożoną, iż żyła w ciągłym oczekiwaniu katastrofy. Naprózno siliła się na odwagę, walczyła całą mocą wesołości i rozsądku, żeby nie iść za popędem swej czulej natury; oczy jej napełniały się łzami, jak tylko zamknęła drzwi od swego pokoju. Wyobrażała sobie, że ją wyrzucą na ulicę, ją, co poróżnioną jest ze stryjem, nie wie dokąd się udać; nie mając grosza i z dwojgiem dzieci na opiece.

Wznowiły się wrażenia pierwszych tygodni; zdawało jej się, że jest ziarnkiem prosa w ogromnym młynie. Była w najwyższym stopniu zniechęconą, czując się tak małą w tej wielkiej maszynie, która gotowała się zgnieść ją ze spokojną obojętnością. Nie mogła się ludzić: jeżeli wydała którą sklepową z oddziału okryć, z pewnością na nią padnie wybór. W czasie wycieczki do Rambouillet, musiały te panny nabić nią głowę pani Aurelii, bo od tego czasu traktowała ją z większą jeszcze surowością i z widoczną urazą. Nie

mogły jej darować spaceru do Joinville, widząc w tem bunt, sposób naigrawania się z całego kantoru, że się pokazała publicznie z panną z nieprzyjaznego obozu. Dyoniza nigdy jeszcze tyle nie cierpiała w oddziale i teraz traciła nadzieję pozyskania go sobie.

— Nie uważaj na nic!—mówiła Paulina—pozu-
ją na coś wielkiego, a głupie jak gęsi.

Właśnie to ich obejście najbardziej ją trwożyło. Prawie wszystkie przybierając układ światowy wśród codziennego ocierania się z bogatszymi klientkami—stanowiły jakąś klasę nieokreśloną, bez nazwy, pośrednią między robotnicami a mieszczankami. Pod sztuką ubierania się, pod manierami i wyuczonym frazesem, kryły często powierzchnowe wykształcenie, czerpane z małych dzienniczków, z tyrad dramatów i wszystkich głupstw, kursujących po bruku paryzkim.

— Czy wiecie, że źle uczesana ma dziecko? — powiedziała Klara pewnego poranku, wchodząc do oddziału.

Gdy się zadziwiły, dodała:

— Sama ją widziałam wczoraj wieczorem, przechadzającą się z malcem; musiała go umieścić gdzieś.

We dwa dni potem, Małgorzata schodząc od obiadu, przyniosła drugą nowinę:

— Tylko co widziałam kochanka źle uczesanej. Wyobraźcie sobie, że to robotnik jakiś... brudny

robotnik z złotemi włosami, który wyczekując, spoglądał na nią przez szyby.

Od tego czasu stało się to faktem niezaprzeczo-
nym. Dyoniza miała kochanka i ukrywała dzie-
cko w dzielnicy. Zarzucano ją złośliwemi przy-
mówkami. Zrozumiawszy pewnego razu o co ją
posądzają, zbladła wobec tych potwornych
oszczerstw. Tak to się jej wydało ohydne, że
chcąc się wytłómaczyć, bąknęła:

— Ależ to moi bracia!

— Tak, bracia! — rzekła Klara swym blagier-
skim tonem.

Pani Aurelia była zmuszoną winieszać się.

— Milczeć! lepiej pozmieniacie panny te ety-
kiety. Pannie Dyonizie wolno się źle prowadzić
po za magazynem... byleby tu pracowała...

Ta sucha obrona była wydaniem wyroku. Dyo-
niza zgnębiona, jakby ją oskarżono o występki,
naprózno starała się uniewinnić. Śmiały się
i wzruszały ramionami, ona zaś pozostała z raną
w sercu. Skoro się te wieści rozeszły, Deloche
tak był oburzony, iż zapowiedział, że spoliczkuje
sklepowe od okryć; powstrzymała go tylko oba-
wa skompromitowania jej. Od wieczoru w Join-
ville, przechował dla niej uległą miłość, przyjaźń
prawie religijną, którą jej okazywał wejrzeniem
przywiązanego psa. Nikt niepowinien był podej-
rzywać ich uczuć, bo śmiano by się z nich; lecz to
nie przeszkadzało marzyć o zemście, gdyby się
kto odważył skrzywdzić ją, w jego obecności.

Dyoniza nieodpowiadała już wcale. Te zarzuty były tak szkaradne, że jej się zdawało, iż im nikt nie uwierzy. Kiedy która z koleżanek odważała się na przymówkę, zwracała tylko ku niej bystre spojrzenie, z miną smutną i spokojną. Zresztą miała ona także innych nieprzyjaciół: były to kłopoty pieniężne, które ją więcej jeszcze dręczyły. Jan zawsze był trzpiotem, męczył ją ciąglem żądaniem pieniędzy. Rzadko który tydzień minął, żeby jej nie przesłał jakiejś historyi, opisanej na czterech stronicach. Gdy wagramajster domowy wręczał jej listy pisane dużym namiętym charakterem, chowała je do kieszeni, bo sklepowe śmiały się i żartowały złośliwie. Potem pod jakim-bądź pozorem szła na drugi koniec magazynu dla odczytania listu i strach ją ogarniał: ten biedny Jan zdawał się zgubionym. Wierzyła we wszystkie kłamstwa, w jakieś nadzwyczajne przygody miłosne, których niebezpieczeństwo przez nieświadomość jeszcze powiększała. Raz prosił o czterdzieści sous, żeby uniknąć zazdrości kobiety, to znów o pięć lub sześć franków, żeby ochronić honor biednej dziewczyny, którą ojciec gotów zabić. Ponieważ ani jej gaża, ani tanyema nie wystarczały na to, powzięła myśl poszukać w mieście robótek, któremi mogłaby się zajmować w wolnych chwilach. Gdy się zwierzyła z tem p. Robineau, który jej pozostał przychylnym od owego spotkania u Vinçarda, dostarczył jej robienie kokardek do krawatów, po pięć sous od tuzi-

na. Od dziewiątej do pierwszej w nocy mogła uszyć sześć tuzinów; przynosiło to trzydzieści sous, z których trzeba było odliczyć cztery na świecę. Ale te dwadzieścia sześć sous dziennie szły na utrzymanie Jana. Nie utyskiwała nad tem, że się nie wysypia, miałyby się nawet za bardzo szczęśliwą, gdyby nowa katastrofa, nie obróciła w niwecz jej budżetu. Przy końcu drugiej połowy miesiąca, kiedy przyszła do przedsiębiorczyni krawatów, znalazła drzwi zamknięte: to bankructwo naraziło ją na utratę dwiętnastu franków, sumę bardzo znaczną, na którą od tygodnia rachowała. Wszystkie nieprzyjemności w oddziale bladły wobec tej klęski.

— Smutna jesteś— rzekła Paulina, spotkawszy ją w galeryi mebli.— Może potrzebujesz czego?

· Lecz Dyoniza, która już winna jej była dziesięć franków, odpowiedziała, siląc się na uśmiech:

— Dziękuję... źle spałam, ale nic mi nie jest.

Było to dwudziestego lipca, w czasie największej obawy o wydalenie. Ze czterystu indywidualiów, Bourdoncle wygnał już pięćdziesiąt i rozniosła się wieść o nowych wydaleniach. Dyoniza jednak nie myślała o tych pogrózkach, tak była zajęta nową przygodą Jana, jeszcze groźniejszą od innych. Tym razem potrzebował piętnastu franków, żeby się zasłonić od zemsty oszukanego męża. W wigilię tego dnia otrzymała pierwszy list, opisujący dramat; potem jeden po drugim nadeszły jeszcze dwa; w ostatnim, który kończyła

czytać, spotkawszy się z Pauliną, Jan oznajmiał, że sobie życie odbierze wieczorem, jeżeli mu nie przyszele piętnastu franków. Dręczyła się okropnie. Nie mogła ich wziąć z pensyi małego Pépé, gdyż zapłaconą była od dwóch dni. Wszystkie nieszczęścia ją prześladowały, spodziewała się, że przy pomocy p. Robineau, który może potrafi znaleźć dłużniczkę, odzyska dziewiętnaście franków; lecz on otrzymawszy dwutygodniowy urlop, dotąd nie powrócił, chociaż był już oczekiwany.

Paulina wciąż wypytywała ją przyjaźnie. Spotkawszy się w oddalonej części magazynu, rozmawiały z sobą bez obawy;—lecz nagle bielizniarka uczyniła poruszenie do ucieczki; spostrzegła bowiem biały krawat inspektora, wychodzącego z oddziału szalów.

— Ach! nie, to ojciec Jouve;—szepnęła uspokojona. — Niewiem czego się ten stary śmieje, gdy nas widzi razem. Na twojem miejscu obawiałabym się, bo jest zbyt grzeczny dla ciebie. Zły jest jak pies i zdaje mu się, że wiecznie przemawia do żołnierzy.

Rzeczywiście, Jouve był nienawidzony przez wszystkich subiektów za srogość w nadzorze. Większa połowa wydalala się na mocy jego raportów.

Ten hulaka z dużym czerwonym nosem, stary kapitan, łagodniał tylko w oddziałach obsługiwanych przez kobiety.

— Czegożbym się miała obawiać? — zapytała Dyoniza.

— Gotów żądać wdzięczności, wiele z tutejszych panien zaskarbia sobie jego łaski — odrzekła Paulina ze śmiechem.

Jouve oddalił się, udając że ich nie widzi; ale posłyszały, że zaraz napadł na subiekta od koronek, który zawinił tem, że się przyglądał koniowi upadłemu na ulicy Neuve-Saint-Augustin.

— Ale, ale—powiedziała Paulina—czyś ty nie szukała wczoraj pana Robineau? zdaje się, że już powrócił.

Dyoniza myślała, że jest ocaloną.

— Dziękuję ci za wiadomość; obejdę do koła, żeby przejść przez oddział jedwabi. Posłano mię wprawdzie tylko na górę po penioar, ale trudna rada...

Rozstały się. Dyoniza z miną zakłopotaną, jak gdyby biegła z kasy do kasy dla sprostowania jakiej pomyłki, dostała się do wschodów i zeszła do halli. Było trzy kwadranse na dziesiątą, dzwoniło już na pierwszy stół. Słońce rozgrzewało szyby i pomimo spuszczonych rolet z szarego płótna, zgęszczone powietrze przejęte było spieką. — Czasami chłód wydzielał się z polewanej cienkim strumieniem przez chłopców podłogi. Panowała jakaś ospałość, letnia siesta, kontuary pośród zalegającej je próżni, przypominały puste kaplice i kościoły, gdzie zapadają cienie, po odprawieniu ostatniej mszy. Subiekci stali drzemiąc, nieliczne

klientki przechodziły przez galeryę i hallę, ocię żalym krokiem, jakim się zwykle odznaczają kobiety, skoro im słońce dokucza.

Gdy Dyoniza schodziła ze schodów, Favier, mierzył właśnie suknię z lekkiej jedwabnej materii w groszek różowy dla pani Boutarel, wigilię dnia tego przybyłej z południa. Od początku miesiąca zjawiało się dużo przybyszek z prowincyi; widać tylko było osoby śmiesznie poubierane w żółte szale i zielone spódnice. Ogromny był napływ z prowincyi. Zobojętnieni subiekci już się nawet nie śmieli. Favier, zaprowadziwszy panią Boutarel do norymberskich towarów, rzekł do Hutina:

— Wczoraj była cała Owernia, a dziś Prowan-cya... Aż mię głowa boli.

Ale Hutin poskoczył: była to jego kolej, a poznał „piękną panią”, ową zachwycającą blondynkę, którą w oddziale tak nazywano, nic o niej nie wiedząc, nawet jak się nazywa. Wszyscy się do niej uśmiechali. Nie minął tydzień, żeby się nie zjawiała w Magazynie Nowości, ale zawsze sama. Tym razem miała z sobą chłopczyka lat czterech lub pięciu. Zaczęto o tem mówić.

— Więc ona zameżna? — spytał Favier, skoro Hutin powrócił z kasy, gdzie zapisał jej kupno: trzydzieści metrów atlasu *duchesse*.

— Może być—odpowiedział Hutin—chociaż ten malec niczego nie dowodzi. Może to dziecko jej

przyjaciołki. Ale co pewna, to że musiała płakać... Smutna i oczy ma czerwone...

Zapanowało milczenie. Dwaj subiekci patrzyli machinalnie w głąb magazynu. Nakoniec Favier przemówił powolnym głosem:

— Jeżeli jest zamężną, to ją może wybił mąż.

— Być może—powtórzył Hutin— albo kochanek ją opuścił. — Po krótkim milczeniu, rzekł jeszcze:—Mniejsza o to zresztą.

W tej chwili Dyoniza przechodziła przez hallę, zwalniając kroku i rozglądając się dokoła, żeby dostrzedz pana Robineau. Nie ujrawszy go, poszła do galeryi białych towarów, a potem wróciła. Dwaj subiekci śledzili ją wzrokiem.

— Patrz, znowu ta chudizna!—szepnął Hutin.

— Szuka Robineau — powiedział Favier.—Nie wiem nad czem się oni zawsze naradzają; z pewnością nie ma w tem nic wesołego; Robineau za głupi na to. Podobno jej dostarczył robotę kokardek do krawatów. Gruby interes!

Hutin obmyślał jaki złośliwy figiel. Gdy przechodziła koło niego, zatrzymał ją nagle, pytając:

— Czy pani mnie szuka?

Zaczerwieniła się mocno... Od wieczoru w Joinville, nie śmiała czytać w swem sercu, gdzie się tyle niejasnych uczuć krzyżowało. Widziała go ciągle z tą rudą dziewczyną i jeżeli jeszcze drżała przed nim, to tylko skutkiem przykrego uczucia. Czy go kochała? Czy kocha go teraz? Niechciała

się nigdy nad tem zastanowić, taką jej to przykrość sprawiało.

— Nie, panie—odpowiedziała zmieszana.

Hutina bawiło jej zakłopotanie.

— Jeżeli pani sobie życzy, to możemy nim służyć. Favier, podaj pani Robineau.

Zmierzyła go tem smutnem i spokojnem spojrzeniem, z jakim przyjmowała uwłaczające przycki panien. Al! więc jest złośliwy; dokucza jej wraz z innymi... Zaszło coś w niej, jakby rozdarcie ostatnich więzów, co ją z nim łączyły. — Na twarzy odbiło się takie cierpienie, że Favier chociaż niezbyt czulej natury, jednakże pospieszył jej na pomoc.

— Pan Robineau jest przy sortowaniu—powiedział. — Zapewne powróci przed śniadaniem. Jeżeli pani masz do niego interes, to się możesz zobaczyć po południu.

Dyoniza podziękowała i wróciła do okryć, gdzie pani Aurelia oczekiwała ją ze złością.

— Poszłaś panna już od pół godziny i zkądże wracasz? Pewno nie z pracowni.

Dziewczyna spuściła głowę, myśląc o tem, jak ją nieszczęścia prześladują. Już po mnie, jeżeli Robineau nie nadejdzie. Jednakże obiecywała sobie zejść jeszcze na dół.

W oddziale jedwabi powrót Robineau sprawił ogromną rewolucję. Powszechnie spodziewano się, iż nie powróci znudzony ciągłemi przeciw sobie intrygami. Rzeczywiście była chwila, kiedy

naciskany przez Vinçarda, o mało nie nabył jego interesu. Skryte zabiegi Hutina, dołki które kopał tak dawno pod jego nogami, wybuchły nakoniec z całą siłą. Przez czas urlopu Robineau, kiedy go Hutin zastępował, silił się, by mu wszelkimi sposobami szkodzić w opinii naczelników i ugruntować się na jego miejscu: Przesadną gorliwością starał się zwrócić uwagę na małe niedokładności, jakie wykrywał i na widok publiczny wystawiał; projektował ulepszenia i obmyślał nowe desenie. Zresztą wszyscy, poczynając od aplikanta, marzącego o miejscu subiekta, aż do najstarszego łaknęli wyższej posady; wszyscy mieli jedyną myśl: wysadzić kolegę, ażeby sami postąpili o jeden stopień wyżej; pożreć go, kiedy się stał zawadą. Ta walka pożądań, to popychanie się wspólne, przyczyniały się do podtrzymywania ruchu maszyny, podniecały sprzedaż i powiększały zyski domu handlowego. Po za Hutinem stał Favier, za nim szereg innych. Słychać było szczękanie rozłakomionych zębów. Robineau był skazany; każdy porywał już swoją kość. To też gdy wrócił, szemranie było ogólne. Należało z nim skończyć; zachowanie się subiektów wydało się tak groźnem naczelnikowi oddziału, iż aby zostawić dyrekcji czas do namysłu, wysłał Robineau do sortowania towarów.

Hutin głośno objawił, że wszyscy wolą opuścić służbę, jeżeli Robineau pozostanie.

Sprawa ta nudziła Bouthemonta, którego rubaszna wesołość nie mogła znosić tych zamieszek domowych. Wściekał się, widząc koło siebie tylko zachmurzone twarze; ale chciał być sprawiedliwym.

— Dajcież mu pokój, nic wam złego nie robi.

Ztąd wybuchły protesta: — Jakto nic złego nie robi! Nieznośny jest... zawsze zdenerwowany... gotów człowieka zdeptać, taki dumny.

Była to największa pretensya oddziału do niego. Robineau miał nerwy kobiece, był szorstki i nieznośnie drażliwy. Opowiadano mnóstwo anegdot: o jakimś młodzieńcu, którego wpędził w chorobę i o klientkach, które upokarzał ostremi uwagami.

— Słowem, moi panowie, nie mogę nic brać na swoją odpowiedzialność. Zdałem raport dyrekcji i zaraz wznowię tę kwestyę—rzekł Bouthemont.

Dzwonek wzywający drugi stół, rozległ się z suterenu, tłumiony dusznem powietrzem w magazynie. Hutin i Favier zeszli na dół. Ze wszystkich kantorów przybywali subiekci, cisnąc się na dole przy ciasnem wejściu do kuchennego korytarza. Był on wilgotny, oświecony ciągle płonącym gazem. Stado to śpieszyło się bez śmiechu, bez słów, pośród brzęku naczyń i zapachu potraw. Na końcu korytarza, zatrzymywali się nagle przed okienkiem, obok którego stały stosy talerzy i łyżek zanurzonych w szafliku miedzianym; tam kucharz rozdzielał porcy; kiedy zaś odwra-

cał się od okienka, to po za jego brzuchem przybranym w biały fartuch, dawała się widzieć płonąca kuchnia.

— Brawo! — zawołał Hutin, rozpatrując jadłospis na czarnej tablicy po nad okienkiem: wołowina z ostrym sosem albo ryba. — Nigdy nie dają pieczystego w tej garkuchni! Wytrzymać nie można z ich sztuką mięsa i rybą!

W ogóle nie lubiono ryby, więc rądle pozostawały zawsze pełne. Favier jednakże wziął rybę. Po za nim Hutin zawołał:

— Wołowina z ostrym sosem!

Kucharz wziął mechanicznym ruchem kawał mięsa na widelec i polał go łyżką sosu; zaledwo Hutin odurzony gorącym wyziewem z okienka, wziął swą porcyę, kiedy po za nim rozległy się znów wołania o wołowinę; kucharz bezustanku chwycił na widelce kawały mięsa, skrapiając je sosem z prędkością i miarowym ruchem dobrze idącego zegara.

— Ta ich ryba jest zimna—powiedział Favier, nie czując ciepła od talerza.

Wszyscy szli z talerzem w wyciągniętej ręce, w obawie, by ich kto nie potrącił. O dziesięć kroków dalej, znajdował się bufet, również z okienkiem, gdzie na błyszczącym miedzianym kontuarze stały rzędem porcyjki wina w małych, bez korka, butelkach, jeszcze mokrych od mycia. — Każdy wolną ręką brał przechodząc buteleczkę, czem jeszcze więcej obarczony, dochodził do stołu

z miną seryo, starając się o zachowanie równowagi.

Hutin ciągle mrucał:

— Piękny mi spacer z temi naczyniami.

Jego stół i Faviera znajdował się na końcu korytarza, w ostatniej jadalnej sali. Wszystkie były do siebie podobne, przerobione z dawniejszych piwnic; na cztery metry były szerokie a na pięć długie, powleczone cementem i urządzone jak re-fektarze. Ale wilgoć przejadła malowanie, żółte ściany pokryły się zielonkowatymi plamami i z okienek piwnicznych, wychodzących na ulicę na równi z chodnikiem, wpadał blady dzienny blask, ciągle przerywany ciemnymi cieniami przechodniów. W lipcu równie jak w grudniu, duszono się tam w gorącej parze, pełnej zabój-czych wyciewów z kuchni.

Hutin wszedł pierwszy. Na stole, jednym końcem wmurowanym w ścianę i nakrytym ceratą, tylko szklanki, widelce i noże oznaczały miejsca. Stos talerzy na zmianę, wznosił się na każdym końcu. Po środku leżał ogromny bochenek chle-ba, z wetkniętym weń nożem. Hutin postawił butelkę i talerz; potem wzięwszy serwetę z dołu krates, które służyły za jedyną ozdobę sali, usiadł wzdychając.

— Jak na złość jestem głodny!... — mruknął.

— Zawsze tak bywa — powiedział Favier, usiadłszy obok niego po lewej stronie. Gdy umie-rasz z głodu, to nie masz co jeść.

Stół prędko się zapełnił; było na nim dwadzieścia nakryć. Z początku słychać było hałas tylko, gwałtowny brzęk widelcy oraz głośne jedzenie zdrowych zuchów, z żołądkami zgłodniałymi po trzynastogodzinnej pracy. Dawniej subiecki mając godzinę czasu na śniadanie, mogli pójść na kawę gdzieindziej, starali się więc zjeść we dwadzieścia minut, żeby wyjść na ulicę; — lecz to umysły ich rozpraszało, przychodzili roztargnieni, z głową niezdatną do sprzedaży; dyrekcyja postanowiła zatem, że wychodzić niewolno i że dostaną na miejscu filizankę kawy, w razie żądania, za trzy sous. Dla tego to obecnie przeciągali jedzenie, nie troszcząc się o to, czy się nie spóźnią do pracy. Wielu połykało duże kawały, czytając dzienniki oparte o butelkę. Inni po zaspokojeniu pierwszego głodu, rozprawiali głośno, to powracając do wiekuistych skarg na złe pożywienie, to o zarobionych pieniądzach, o tem co robili w ubiegłą niedzielę i co będą robić na przyszłą.

— Cóż, wasz Robineau? — zapytał jeden subiekt Hutina.

Walka jedwabiarzy z drugim subiektem zajmowała wszystkie kantory. Dysputowano nad tą kwestyą codziennie w kawiarni Saint Roch, aż do północy.

Hutin pastwiący się nad kawałkiem wołowiny, raczył tylko odpowiedzieć:

— A cóż... powrócił!

Potem, wpadając nagle w gniew, dodał:

— Ależ do stu dyabłów, dali mi oślinę! To obrzydliwe, słowo honoru!

— Nie narzekaj! — powiedział Favier — ja głupstwo zrobiłem biorąc rybę, bo mi dali zgnilą.

Wszyscy naraz gadali, oburzając się, żartując. Na końcu stołu przy ścianie, Deloche zajadał w milczeniu. Obdarzony ogromnym apetytem, nigdy go nie mógł zadowolnić; a ponieważ zbyt mało zarabiał, aby opłacać dodatki, krajał ogromne kawały chleba i żarłocznie pożerał najmniej ponętne potrawy. Żartując z niego, wołał któryś z nich:

— Favier, oddaj swoją rybę Deloche'owi, on taką lubi.

— A ty swoje mięso, Hutin! Deloche prosi o nie, na wety.

Biedny chłopiec wzruszał tylko ramionami i nic nie odpowiadał. Cóż był winien temu, że marł z głodu? Zresztą inni także, choć sarkali na potrawy, jednak zapychali się niemi.

Wskutek lekkiego gwizdnięcia, wszyscy umilkli; był to znak, że Mouret i Bourdoncle zjawili się w korytarzu. Od niejakiego czasu, skargi na jadło stały się tak głośne, że dyrekcyja postanowiła osobiście przekonać się o stanie rzeczy. Wyznaczyła ona dziennie na osobę jednego franka pięćdziesiąt centymów kucharzowi, który miał z tego opłacić prowizyę, węgiel, gaz i usługę; potem dziwiła się naiwnie, że jadło niedobre. Zrana jeszcze, każdy oddział wybrał delegacyę,

Mignot i Liénard podjęli się przemówić w imieniu kolegów. Wśród ogólnego milczenia, uszy się natężyły, przysłuchiwano się głosom, wychodzącym z sąsiedniej sali, dokąd weszli Mouret z Bourdonclem. Znaleźli oni, że mięso jest doskonałe. Mignot zbity z tropu tym spokojnym wyrokiem, powtarzał:

— Trzeba je gryźć, żeby sądzić.

Liénard zaś, pokazując rybę, łagodnie powiedział:

— Ależ ona cuchnie!

Wówczas Mouret odezwał się serdecznie, że gotów wszystko zrobić dla dobra swych podwładnych, że jest ich ojcem, że wolałby jeść suchy chleb, aniżeli widzieć ich źle żywionych.

— Przyrzekam panom zbadać tę kwestyę — zakończył podnosząc głos, ażeby go wszyscy słyszeli.

Sledztwo dyrekcyi było skończone; znowu powstał szmer widelców. Hutin mruknął:

— Tak, tak... liczcie na to. Nie skąpią grzecznych słówek, ani obietnic! ale karmić cię będą staremi podeszwami, albo też jak psa, wypędzą za drzwi.

Subiekt, który się już raz zwracał do niego, zapytał:

— Więc mówisz, że wasz Robineau?

Lecz brzęk talerzy przygłuszył głos jego. Subiektci sami je sobie zmieniali; stosy na prawo i na lewo zmniejszały się. Skoro pomocnik ku-

charza wniósł wielki blaszany półmisek, Hutin krzyknął:

— Ryż przysmażany! niczego nie brakuje!

— Za dwa grosze kleju! — dodał Favier nabierając na talerz.

Jedni lubili tę potrawę, drugim zdawała się zbyt klejowatą. Ci co czytali, milczeli pogrążeni w felietonie swego dziennika, nie wiedząc nawet co jedzą. Wszyscy ocierali czoła; ciasna piwnica zapełniła się rudawym pyłem, a cienie przechodni ciągle się odbijały na stole, czarnemi smugami.

— Podaj chleb Deloche'owi; — krzyknął jakiś dowcipniś.

Każdy krajał sobie kawałek i wtykał nóż aż do trzonka w chleb, który ciągle obchodził do koła.

— Kto chce wziąć ryż, a dać mi swoje wety? zapytał Hutin.

Wszedłszy w ugodę z małym, szczupłym młodzieńcem, próbował sprzedać wino; ale go nikt nie chciał, tak było szkaradne.

— Mówiłem ci więc, że Robineau powrócił — ciągnął Hutin pośród śmiechu i krzyżujących się rozmów. To sprawa nie na żarty... Wyobraź sobie, że demoralizuje panny sklepowe! Ułatwia im wyrabianie kokardek do krawatów!

— Cicho! — krzyknął Favier. Patrz, sądzą go teraz.

Wskazał okiem na Bouthemonta, chodzącego po korytarzu pomiędzy Mouretem a Bourdonclem.

Wszyscy trzej byli mocno zajęci i rozmawiali żywo półgłosem. Jadalna sala kantorowych i starszych subiektów, była wprost ich jadalni. Skoro Bouthemont spostrzegł Moureta, wstał od stołu, skończywszy właśnie jeść i zaczął opowiadać o niesnaskach, zachodzących w jego oddziale oraz o swoim kłopotcie. Tamci dwaj słuchali go, opierając się jeszcze poświęceniu Robineau, wzorowego subiekta, który już pracował za czasów pani Hédouin. Lecz gdy przystąpił do historyi o kokardkach do krawatów, Bourdoncle wybuchnął: czy ten człowiek zwaryował, żeby się ośmielić demoralizować sklepowe? Magazyn kupuje czas tych panien i drogo za niego płaci; jeżeli bowiem będą pracować w nocy, to będą mniej czynne za dnia, w swoim oddziale... to rzecz jasna; a więc okradają nas, narażając zdrowie, które do nas należy. Noc jest na to, aby spać, wszystkie spać powinny, inaczej wyrzuca się je za drzwi!

— Sprawa się zaognia — zauważył Hutin.

Zawsze kiedy ta rozmawiająca trójka przechodziła zwolna koło drzwi od sali jadalnej, subiektci śledzili ją i tłómaczyli sobie najmniejszy gest. Zapominano nawet o ryżu, w którym jeden z kasjerów znalazł guzik od spodni.

Słyszałem słowo „krawat” — powiedział Favier — a widzieliście nos Bourdoncle'a? Zbielał nagle!

Jednakże Mouret podzielał zdanie współnika. Sklepową zmuszona pracować w nocy, uwłacza

powadze Magazynu Nowości. Ale któraż to taka głupia, że jej może nie wystarczyć zarobek ze sprzedaży? Gdy Bouthemont wymienił Dyonizę, złagodniał Mouret i starał się ją uniewinnić.

— A! to ta mała! ona nie jest jeszcze dość wprawna, zresztą powiadają, że ma obowiązki.

Bourdoncle nastawał, żeby ją natychmiast odprawić.

— To brzydkie stworzenie, na nic się nigdy nie zda; zawsze tak utrzymywałem...

Zdawało się, jak gdyby mówiąc to, czynił zadosyć jakiejś silnej złości. Coraz bardziej się unosił; lecz Mouret zakłopotany udawał, że się śmieje.

— Mój Boże — powiedział — jaki z ciebie srogi człowiek; czy nie można choć raz przebaczyć? Przywoła się winowajczynię i da się jej naukę. Zresztą Robineau wszystkiemu jest winien, gdyż powinien był powstrzymać ją od tego, jako dawny subiekt, znający dobrze zwyczaje miejscowe.

— Pryncypał śmieje się! — powiedział Favier, gdy ci panowie przechodzili koło drzwi.

— Do stu dyabłów — zaklął Hutin. Jeżeli zechcą pozostawić Robineau, to z nami będą mieli do czynienia.

Bourdoncle patrzył w oczy Mouretowi, powstrzymując się od wybuchu. Potem zrobił tylko wzgardliwy gest, na znak że go rozumie i że mu się to wydaje głupiem. — Bouthemont, na nowo rozpoczął swe skargi. Wszyscy subiekci gro-

zili wydaleniem się, rzekł, a niektórzy są doskonali. Lecz najwięcej zaszkodziła biednemu Robineau wieść o jego dobrych stosunkach z Gaujean, który nakłania go do otworzenia własnego magazynu w tejże dzielnicy, obiecując szeroki kredyt, jedynie dla podkopania Magazynu Nowości. Nastąpiła chwila milczenia.

— Tak, więc ten Robineau myśli walczyć ze mną? — rzekł Mouret i nagle spowaźniał; udając jednak, że to lekceważy i że się jeszcze namyśla co postanowić, jakby sprawa ta była małej wagi:

— Zobaczę, rozmówię się z nim — powiedział i zaczął żartować z Bouthemonta, którego ojciec przybył onegdajszego wieczoru ze swego sklepiku w Montpellier i o mało co nie skonał ze zdziwienia i oburzenia, ujrzawszy ogromną hallę, gdzie syn jego królował.

Śmiano się ze starego, który odzyskawszy zachowatość południowca, począł wszystko ganić i twierdził, że się te nowości zsunąć gotowe na chodnik.

Właśnie nadchodzi Robineau — mruknął naczelnik oddziału. Posłałem go do sortowania, żeby uniknąć starcia, którego moglibyśmy żałować. Daruj mi pan, że nalegam; ale rzeczy na takim stopniu rozdrażnienia stanęły, iż należy działać.

Rzeczywiście Robineau nadszedł i uklonił się tym panom, idąc do swego stołu.

Mouret powtórzył tylko:

— Dobrze, rozważę to wszystko.

Oddalili się. Hutin i Favier oczekiwali ich ciągle, ale im lżej było, gdy się już nie zjawili.

— Czy dyrekcyja będzie teraz codzień przychodzić podczas obiadu, żeby nam patrzeć w usta? Wesoło będzie, jeżeli nawet przy jedzeniu odbiorą nam swobodę.... Rzeczywiście o to im chodziło że Robineau powrócił i że wesołość pryncypała źle rokowała o skutku rozpoczętej walki. Mówili ciszej, naradzając się nad nowym środkiem dokuczania.

— Ależ ja umieram! — mówił dalej Hutin głośno. Jeszcze głodniejszym wstaje się tu od stołu.

Jednakże zjadł dwie porcy konfitur, swoją i tę co zamienił na ryż. Nagle wykrzyknął:

— Ot, zafunduję sobie dodatek!... Wiktor, daj mi trzecią porcy konfitur!

Chłopiec dalej obnosił wety. Potem przyniósł kawę, za którą płacono zaraz trzy sous. Niektórzy wstawszy, przechadzali się po korytarzu, szukając ciemnych kątów, żeby wypalić papierosa. Inni pozostali wyciągnięci przy stole, zawalonym tłustem naczyniem; kręcili gałki z okruszyn chleba, powtarzali ciągle jedne historye, wśród zapachu przypalanej tłustości, której już nie czuli i wśród gorąca jakby w kotle, od którego czerwieniły im się uszy. Z murów spływała wilgoć; powolna asfiksyja schodziła z zapleśniałego sklepienia.

Oparty o ścianę Deloche, najadłszy się chleba, odpoczywał w milczeniu z oczami wlepionymi w okienka. Codzienną jego rozrywką po jedzeniu było przypatrywanie się nogom przechodniów, widocznych po kostki; były tam grube trzewiki, eleganckie buty, cienkie kobiece obuwie, słowem ciągnęła defilada nóg żyjących, bez ciała i głowy. W błotniste dnie, było to strasznie brudne.

— Jakto, już? — krzyknął Hutin.

Odezwał się dzwon w końcu korytarza, trzeba więc było ustąpić miejsca dla trzeciego stołu. Służbowi chłopcy nadbiegli z wiadrami ciepłej wody, aby zmyć ceratę. Powoli sale opróżniały się, subiekci rozchodzili się po oddziałach. Kucharz stanął na swoim miejscu przed okienkiem, pomiędzy rądlami z rybą, wołowiną i sosem, uzbrojony w widelec i łyżkę, gotów znowu napełniać talerze swym ruchem rytmicznym, podobnym do wahadła dobrze idącego zegaru.

Ponieważ Hutin i Favier nie śpieszyli z odejściem, spostrzegli schodzącą Dyonizę.

— Pan Robineau już powrócił — rzekł pierwszy z drwiącą grzecznością.

— Siedzi jeszcze przy stole — dodał drugi — ale jeżeli pani bardzo pilno to proszę wejść.

Dyoniza szła dalej, nie odpowiadając i nie odwracając głowy. Jednakże gdy przechodziła koło jadalni naczelników i starszych subiektów, zatrzymała tam. Robineau był rzeczywiście, postanowiła zatem, zobaczyć się z nim po południu i po-

szła dalej do swego stołu, znajdującego się na drugim końcu korytarza.

Kobiety jadały oddzielnie w dwóch osobnych salach. Dyoniza weszła do pierwszej. Była to również dawna piwnica, przerobiona na refektarz; lecz przybrano ją z większym komfortem. Na podłużnym stole pośrodku sali, piętnaście nakryć rozstawiono szerzej, a wino było w karafkach. Na dwóch końcach stołu, stały półmiski z mięsem i z rybą. Chłopcy w białych fartuchach, usługiwali paniom; ażeby nie potrzebowały brać potraw przy okienku, bo dyrekcji wydawało się to przyzwoitszem.

— Cóż, obeszłaś magazyn? — spytała Paulina, która siedząc już przy stole, krajała chleb.

— Tak — odpowiedziała Dyoniza czerwieniąc się, przeprowadzałam klientkę.

Skłamała. Klara trąciła łokciem sąsiadkę swoją.

— Co się dziś dzieje ze źle uczesaną? Jakaś jest osobliwa. Raz po raz odbierała listy od kochanka; potem biegała po magazynie jak opętana; wymyślała interesa do pracowni, gdzie wcale nie chodziła... Niezawodnie jest w tem jakaś historia.

Klara, która jadła bez wstrętu rybę, z odwagą dziewczyny żywionej niegdyś starą słoniną, opowiedziała straszną historię ogłoszoną w gazetach.

— Czytałyście o tym człowieku co zarznął brzytwą kochankę swoją?

Młoda bielizniarka z twarzą łagodną i delikatną odezwała się:

— Zastał ją z innym, więc dobrze zrobił.

Paulina wykrzyknęła:

— Jakto! że kobieta przestała kochać kawalera, to mu wolno poderznąć jej gardło! O co to, to nie! Nie dopowiadając reszty, zwróciła się do garsona:

— Piotrze, nie mogę przełknąć tej wołowiny. Każ mi zrobić omlet, słyszysz! niechaj będzie pulchny, jeżeli to być może.

Mając zawsze łakocie w kieszeniach, wyjęła pastylki czekoladowe, które jadła z chlebem.

— Nie ma co mówić, taki człowiek jest straszny; — powiedziała Klara. Są tacy zazdrośnicy! Niedawno jakiś robotnik wyrzucił żonę swoją na ulicę przez okno.

Cały czas nie spuszczała oczu z Dyonizy; zdawało jej się, że ją odgadła, widząc jak blednie. Widać, że ta święta i niepokalana drży, aby jej nie zbił kochanek, którego zdradza. Byłoby zabawne, gdyby ją chciał prześladować aż w magazynie, jak się zdaje tego obawiać. Ale rozmowa zwróciła się ku innym przedmiotom; jedna ze sklepowych podawała sposób wywabiania plam z aksamitu. Mówiono potem o nowej sztuce w Gaîté, w której małe dziewczynki, w postaci amorków, lepiej tańczą od dorosłych osób. Paulina strapiona z początku zbyt wysmażonym omle-

tem, rozczuliła się i przyznała potem, że nie jest tak zły.

— Przysuń mi wino — powiedziała do Dyonizy. Powinnaś także zażądać omletu.

— Wołowina mi wystarcza — odpowiedziała; dla usunięcia bowiem wydatków, zadawała się miejscowem, chociaż wstrętnem jadłem.

Skoro chłopiec przyniósł ryż, wszystkie panny zaprotestowały. W przeszłym tygodniu pozostawwszy go nietkniętym, nie przypuszczały, żeby się jeszcze pojawił. Tylko Dyoniza przez roztrągnięcie spowodowane troską o Jana, po opowiadaniu Klary, nabrała go sobie; wszystkie patrzyły na nią ze wstrętem. Zaczęto wołać o dodatkowe dania i zjadać konfitury, co było zbytkiem, bo się płaciło z własnej kieszeni.

— Wiecie, że panowie zanieśli skargę — powiedziała delikatna bielizniarka — i że dyrekcyja obiecała...

Przerwały jej wybuchy śmiechu i odtąd mówiono tylko o dyrekcyi. Wszystkie piły kawę, oprócz Dyonizy, która upewniała, że jej nie znosi. Siedziały nad swemi szklaukami nie spiesząc się: bielizniarki w skromnych wełnianych sukienkach, jakby mieszcзки; panny od okryć w jedwabiach, z serwetami zawiązanemi pod brodą, żeby się nie poplamioć — udając damy, którymby się zdarzyło jeść w kuchni ze swemi pokojówkami. Otworzono lufioki dla odświeżenia powietrza dusznego i zatrutego; lecz natychmiast trzeba je

było zamknąć, zdawało się bowiem, że koła powozów jadą po głowach jedzących.

— Cyt! — powiedziała Paulina — nadchodzi to stare bydlę!

Był to inspektor Jouve: lubił on przechodzić przy końcu śniadania, koło jadalni panien, zresztą nadzór nad tą salą należał do niego. Z uśmiechniętymi oczkami zjawiał się i obchodził stoły; czasami nawet raczył rozmawiać, pytając, czy się dobrze posiliły. Lecz ponieważ je przestraszał i nudził, jak najprędzej uciekały, chociażby jeszcze nie zadzwoniono. Klara pierwsza znikła, inne poszły za nią. Pozostały tylko Dyoniza i Paulina, dogryzająca po kawie swoje czekoladowe pastylki.

— Dobra myśl! — powiedziała nagle — pošlę chłopca po pomarańcze... Idziesz?

— Zaraz — odpowiedziała Dyoniza, która gryzła skórkę od chleba; postanowiła pozostać ostania, żeby módz przystąpić do Robineau.

Gdy pozostała sam na sam z Jouve, niemiło jej się jakoś zrobiło i rozdrażniona wstała od stołu. Lecz widząc ją wychodzącą: zagroził sobą drzwi.

— Panno Dyonizo...

Z ojcowską miną stał przed nią. Długie szpakowate wąsy, włosy jak szczotka ostrzyżone, nadawały mu postać poczciwego wojaka. Wydymał pierś, popisując się z czerwoną wstążeczką.

— Czego pan sobie życzysz, panie Jouve? — zapytała uspokojona.

— Znowu panią widziałem dziś rozmawiającą za dywanami. Pani wiesz, że to wzbronione i gdybym zdał o tem raport... Czy panią tak kocha ta przyjaciółka Paulina?

Poruszył wąsami i zaczerwienił mu się nos ogromny, wklęsły, zakrzywiony, z rozwartemi nozdrzami.

— Co to znaczy, że się panie tak kochacie?

Dyoniza nic nie rozumiała, ale ją znowu ogarnęło nieprzyjemne wrażenie. Znadto do niej się zbliżał i mówił prawie tuż przy twarzy.

— Prawda, panie Jouve, rozmawiałyśmy — bąknęła — cóż w tem złego? Pan jesteście bardzo dobrym... Ślicznie za to dziękuję.

— Nie powinienem być dobry — odpowiedział Sprawiedliwość przedewszystkiem... ale dla tak miłuchnej...

Jeszcze się więcej zbliżył; wówczas do reszty załękła się. Przypomniały jej się słowa Pauliny, oraz kursujące historye o sklepowych terroryzowanych przez ojca Jouve i zmuszonych okupywać jego łaski. W magazynie ograniczał się na niejakiem poufałości: klepał z lekka grubemi palcami, przystępniejsze panny po policzkach lub brał je za ręce i trzymał długo, jakby przez zapomnienie. Wszystko to było niejako ojcowskie; bycza jego natura ujawniała się dopiero wówczas, kiedy która z pańien przyszła do niego na grzanki smażone na ulicę Moineaux.

— Daj mi pan pokój — powiedziała Dyoniza, odwracając się.

— Nie bądźże pani tak bardzo dziką z przyjacielem, który oię zawsze oszczędza. Bądź miłą, grzeczną i przyjdź wieczorem pokosztować grzanek z herbatą. Z całego serca, będę panią częstował.

Zaczęła się wydzierać.

— Nie! nie!

Jadalna sala była pusta; garson nie powracał; Jouve nadśluchując czy kto nie idzie, rzucił prędko okiem dokoła. Mocno podbudzony, przestał być powściągliwym i po ojcowsku ponfałym; chciał ją pocałować w szyję.

— Ty mała złośnico, ty głupiuchna... jak się ma takie włosy, nie można być tak głupią. Przyjdźże wieczorem, zabawimy się.

Ale dziewczyna traciła zmysły ze strachu i odrazy, gdy się przybliżała ta rozpalona twarz, której oddech czuła. Nagle odepchnęła go tak gwałtownie, że się zachwiał i tylko co na stół nie upadł. Szczęściem znalazło się krzesło na drodze; ale od tego wstrząśnienia wino pozostałe w szklance, wylało się, plamiąc biały krawat i ponsową wstążeczkę.

Jouve stał jak wryty, nie obcierając się nawet, dławiony złością za podobne grubiaństwo. Jaktó! kiedym tego nie oczekiwał, kiedym nie użył siły i szedłem tylko za popędem dobroci... myślał z oburzeniem.

— O, pożałujesz panna tego, daję słowo honoru!

Dyoniza uciekła. W tej chwili odezwał się dzwonek. Drżąca i zmieszana, zapomniała o panu Robineau, weszła więc do kantoru, z którego już potem nie śmiała wyjść. Ponieważ po południu słońce mocno rozpałało fasadę od placu Gaillon, duszno było w antresolach, pomimo spuszczo-nych rolet. Zjawilo się kilka klientek i wpędziły panny w poty, nie kupiwszy. Cały oddział poziewał, wobec sennych oczu pani Aurelii. Nareszcie około trzeciej, Dyoniza widząc, iż ta ostatnia usnęła, wymknęła się po cichutku i znowu przebiegła przez różne oddziały. Ażeby uniknąć ciekawych i śledzących oczu, nie udała się wprost do jedwabi; ale pod pozorem, że ma interes do koronek, zapytała o coś Deloche'a; nakoniec przeszedłszy na dole przez Rueńskie wyroby, wchodziła do krawatów, kiedy nagle ujrzała Jana przed sobą.

— Jakto... ty? — szepnęła blednąc.

Był w swojej bluzie od roboty, z gołą głową z jasnymi włosami, spadającymi w nieładzie na jego panięską twarzyczkę. Stał przed szafką z czarnymi krawacikami i zdawał się mocno zamysłony.

— Co ty tu robisz? — zapytała.

— A cóż, czekałem na ciebie — odrzekł — zabroniłaś mi przychodzić... ale wszedłem, tylko nikomu nic nie powiedziałem. Możesz być spo-

kojną! Jeżeli ci o to chodzi, to udawaj, że mię nie znasz.

Subiekci już na nich patrzyli z miną zdziwioną. Jan zniżył głos.

— Chciała mi towarzyszyć... Tak, czeka na placu, przy wodotrysku. Dawaj prędzej piętnaście franków, bo inaczej jesteśmy zgubieni, tak pewno jak słońce świeci.

Dyoniza strasznie była zmieszana. Śmiano się dokoła, przysłuchując tej awanturze. Ponieważ wejście na wschody do suterren było otwarte przy oddziale krawatów, pchnęła tam brata i sama szybko za nim zbiegła. Na dole kończył on swe opowiadanie, ale był zakłopotany, przytaczał co niemiara faktów, bojąc się, że gotowa mu nie wierzyć.

— To nie dla niej te pieniądze... ona za nadto dystygowana... Jej mąż także kpi sobie z piętnastu franków. Za milion nie upoważniłby swej żony! Jest fabrykantem kleju, czy ci tego nie mówiłem? Bardzo przyzwoici ludzie... Nie, to dla jednego niegodziwca, jej przyjaciela, który nas widział; więc rozumiesz... jeżeli mu nie dam dziś wieczór piętnastu franków...

— Cicho... później... idźże dalej... — szeptała Dyoniza.

Weszli do służby ekspedycyjnej. Martwa pora letnia ukołysała do snu rozległą piwnicę, oświetloną bladawem światłem okienka. Panował tam chłód i milczenie zalegało pod sklepieniem. Je-

duakże chłopiec zabierał z przedziału nieliczne pakiety, dla wysłania ich do dzielnicy Madeleine, a na wielkim stole do sortowania siedział Champion, naczelnik służby, ze spuszczonei nogami, wytrzeszczywszy oczy.

Jan znowu rozpoczął:

— Mąż, który ma ogromny nóż...

— Idźże — mówiła Dyoniza, wciąż go popychając.

Weszli na jeden z ciasnych korytarzy, gdzie gaz ciągle się palił. Na prawo i na lewo leżały stopy zapasowych towarów, po za palisadą. Na koniec zatrzymała się przy jednej z tych klatek drewnianych. Pewno tu nikt nie przyjdzie, myślała, ale ją dreszcz przejmował, wiedziała bowiem, że to jest surowo zabronione.

— Jeżeli ten łotr odezwie się—mówił Jan—to mąż mający wielki nóż...

— Zkąd chcesz żebym wzięła pięnaście franków?—wykrzyknęła zrozpaczona Dyoniza. — Nie możesz się ustatkować.. Wiecznie ci się zdarzają takie osobliwe historie!

Uderzył się mocno w piersi. W pośród swych opowiadań romansowych, sam się nie mógł prawdy doszukać. Po prostu dramatyzował potrzebę pieniędzy; na dnie rzeczy spoczywała zawsze jakaś gwałtowna potrzeba.

— Przysięgam na wszystko, co jest najświętszego, że tym razem to prawda... Ot tak ją trzymałem; ona mię ścisnęła...

Dyoniza kazała mu znowu milczeć z gniewem, tak była już znękana i zniecierpliwiona.

— Niechcę nic wiedzieć. Zachowaj dla siebie swoje wybryki. To jest szkaradne, słyszysz? Ciągle mię dręczysz; zabijam się, żeby ci dostarczyło sto sous; spędzam bezsenne noce... a co gorsza, odejmujesz kawałek chleba od ust swego brata.

Jan stał z otwartymi ustami i bladą twarzą! To jest szkaradne?— nic nie rozumiał. Traktował on zawsze siostrę jak koleżankę i wydawało mu się to naturalnem, iż przed nią odkrywa swe serce. Lecz go najwięcej ubodło to, że ona spędza bezsenne noce. Myśl, że ją zabija, że wydziera chleb małemu Pépé, tak go wzruszyła, iż począł płakać.

— Masz rację, dotr ze mnie! — wykrzyknął. — Ale to nie jest szkaradne, wierzaj mi i dla tego wraca się do tego ciągle. Ta już ma dwadzieścia lat. Myślała, że to tylko żarciki będą, dla tego, że ja mam dopiero siedemnaście. Jakże ja się wściekam na siebie! Gotówbym się spoliczkować!

Wziął ją za rękę, całował je, oblewał łzami.

— Daj mi te piętnaście franków; przysięgam, że to już raz ostatni... Ale nie, lepiej nie dawaj, wolę umrzeć. Jeżeli mię mąż zabije, będziesz na zawsze odemnie uwolniona.

Ponieważ ona także płakała, doznał wyrzutu sumienia.

— Ja tak tylko mówię, ale nie, nie. Może on niechce nikogo zabić... Jakoś sobie poradzimy;

obiecuję ci to siostrzyczko... Żegnaj cię i odchodzę.

Zaniepokoił ich odgłos kroków na końcu korytarza. Dyoniza poprowadziła go znów do drewnianej klatki, w najciemniejszy kąt. Przez jakiś czas słyszeli tylko syczenie gazu; potem kroki się zbliżyły: wyciągnawszy głowę, poznała inspektora Jouve, który jak zwykle, z ostrą miną wszedł na korytarz. Czy się tu zjawił wypadkiem, czy ktoś inny z pomiędzy czuwających przy drzwiach dał mu znać? Taka ją opanowała trwoga, że straciwszy głowę wyszła z kąta i popychając Jana, bełkotała:

— Idź! Idź sobie!

Oboje puścili się w cwał, słysząc za sobą oddech ojca Jouve, który biegł za nimi. Przeszli na nowo przez biuro ekspedycyi i doszli do wejścia na wschody, których oszklona klatka wychodziła na ulicę Michodière.

— Idź-że już sobie — powtarzała Dyoniza. — Idź, jeżeli z kąda dostanę piętnaście franków, to ci je przyślę.

Odurzony Jan, uciekł. Inspektor, który nadszedł właśnie, dostrzegł tylko kawałek białej bluzy i blond włosy, unoszone przez wiatr na ulicy. Przez chwilę dyszał, chcąc odzyskać zwykłą powagę; miał nowiuteńki biały krawat, wzięty w oddziale bielizny; szeroka kokarda jego lśniła się jak śnieg.

— Bardzo ładnie, moja panno... tak, to ładnie... bardzo ładnie!... Czy panna myślisz, że ja pozwolę w suterenie na takie ładne rzeczy...

Ścigał temi słowy, podczas gdy wracała do magazynu z gardłem zdławionem ze wzruszenia, nie wiedząc jak się bronić. Żałowała teraz, że biegła; trzeba się było wytłómaczyć i przedstawić brata. Znow będą ją podejrzewać o jakieś brudy; napróżno przysięgałaby, nie uwierzą. Tym razem znowu zapomniawszy o panu Robineau, weszła wprost do kantoru.

Nie tracąc ani chwili, Jouve udał się do dyrektora, dla złożenia raportu; ale mu lokaj powiedział, że pryncypał od kwadransa jest zajęty rozmową z Bourdonclem i Robineau. Drzwi były otwarte; Mouret wesoło zapytywał subiekta: czy dobrze czas spędził na urlopie. Nie było mowy o wydaleniu go. Owszem naradzano się nad ulepszeniami w oddziale.

— Czy sobie czego życzysz, panie Jouve? — zawołał Mouret. — Wejdz że proszę.

Lecz jakiś instynkt powstrzymał inspektora; Bourdoncle wyszedł na korytarz, wołał więc jemu powiedzieć rzecz całą. Powoli przeszli obok siebie galeryę szali, jeden pochyłony mówił z cicha, drugi słuchał, nie zdradzając ani jednym rysem surowej twarzy, jakiego doznaje wrażenia.

— Dobrze, dobrze — powiedział i zakończył rozmowę.

Doszedłszy do oddziału okryć, wszedł właśnie w tej chwili kiedy pani Aurelia robiła Dyonizie wymówki.

— Zkąd wracasz?—pytała?—Może tym razem nie powiesz przynajmniej, żeś chodziła do pracowni. Doprawdy, to ciągle wymykanie się, nie może trwać dłużej.

— Pani Aurelio!—odezwał się Bourdoncle.

Zdecydował się na stanowczy krok; nie chciał się radzić Moureta, bojąc się jego słabostki. Pani Lhomme, przystąpiła do niego i zaczęło się na nowo opowiadanie historyi. Cały oddział był w oczekiwaniu, przewidując jakąś katastrofę... Nakoniec z miną uroczystą, rzekła :

— Panno Dyonizo!

Jej cesarska maska przybrała nieubłaganą nie-wzruszoność wszechmocności.

— Proszę iść do kasy!

Okropne te słowa, głośno zadźwięczały w oddziale, gdzie nie było podówczas klientek. Dyoniza stała wyprostowana i blada, bez tchu. Potem odezwała się przerywanemi słowy:

— Ja? Ja? Za cóż? Czem-że zawiniłam?

Bourdoncle odpowiedział ostro:

— Wiesz panna za co i lepiej zrobisz nie wyzywając objaśnień.

Następnie zaczął mówić o krawatach i dodał, że byłoby to pięknie, gdyby wszystkie sklepowe miały schadzki z mężczyznami w suterenach.

— Ależ to mój brat — wykrzyknęła z bolesnem oburzeniem znieważonej dziewczyny.

Małgorzata i Klara zaczęły się śmiać; pani Frédéric zaś, zwykle tak dyskretna, kiwała głową z miną niedowierzającą. Zawsze ten brat! To już po prostu głupio wygląda. Dyoniza spojrzała dokoła: był tam Bourdoncle, który ją znienawidził od pierwszego dnia. Jouve, pozostający jako świadek na żądanie; dziewczęta, których nie mogła przez dziewięć miesięcy zjednać sobie i które teraz promieniały z radości, że ją wypychają na ulicę. Na cóż się zda walka? Dlaczego narażać się, kiedy jej nikt nie kocha? Oddaliła się, nie rzekłszy ani słowa, nie pożegnawszy nawet wejściem sali, w której tak długie walki staczała.

Lecz gdy się ujrzała sama przy poręczy wschodów od halli, dotkliwy ból ścisnął jej serce. Nikt jej nie kocha... Nagła myśl o Mourecie pozbawiła ją wszelkiej rezygnacyi. Nie! ja się nie mogę zgodzić na takie wydalenie. Może on uwierzy tej nieczej historyi o schadzce z mężczyzną w głębi piwnic. Na tę myśl opanował ją taki wstyd i ból, jakich jeszcze nigdy nie zaznała. Chciała go poszukać, wyjaśnić mu rzecz, opowiedzieć jak to było, wówczas obojętnie się oddali, skoro on będzie wiedział prawdę. Obawa, jakiej dotąd doświadczała, dreszcze przechodzące ją w jego obecności, ustąpiły naraz gorącej potrzebie widzenia go., nie chciała opuścić domu, zanim go nie upewni, że do nikogo jeszcze nie należy.

Było około piątej godziny. Magazyn powoli się ożywiał, z nastaniem wieczornego chłodu. — Spiesznie się skierowała w stronę dyrekcji, ale ujrawszy się przede drzwiami gabinetu, na nowo uległa rozpaczliwemu smutkowi. Język jej się plątał, ciężar życia spadł na barki. „On nie uwierzy, myślała, będzie się śmiał, jak inni...” Ta obawa odjęła jej resztę odwagi. Skończona rzecz... będzie jej lepiej samej jednej, w ukryciu, jak gdyby już nie żyła...

Nie zawiadamiając o niczem nawet Pauliny i Deloche'a, poszła natychmiast do kasy.

— Należy się pani za dwadzieścia dwa dni osiemnaście franków siedemdziesiąt centimów; do których dodać należy siedem franków tantyemy; oto cały rachunek, czy tak?—rzekł kasyer.

— Tak, panie; dziękuję.

Odchodząc z pieniędzmi, spotkała nakoniec Robineau; wiedział już o jej wydaleniu i obiecał wynaleźć jej dłużniczkę. Po cichu pocieszał ją i oburzał się:

— Co za egzystencya—mówił—widzieć cię ciągle zależną od kaprysu! mózdz być wyrzuconą na ulicę lada chwila i nawet nie dostać gaży za cały miesiąc!

Dyoniza udała się na górę, żeby zawiadomić panią Cabin, że wieczorem przyśle po walizkę. Biła piąta godzina, kiedy się ujrzała na chodniku placu Gaillona, ogłuszona pośród dorożek i tłumu.

Wieczorem Robineau, powróciwszy do domu,

znalazł list od dyrekcji, zawiadamiający go w pięciu wierszach, że ze względu na porządek wewnętrzny, widzi się zmuszoną podziękować mu za jego trudy. Od siedmiu lat był w magazynie i jeszcze po południu rozmawiał z tymi panami. Było to jakby uderzenie maczugą. Hutin i Favier opiewali zwycięstwo w oddziale jedwabi, równie hałaśliwie, jak Małgorzata i Klara w sali okryć. Zręczne pozbycie się! miotła dobrze wymiata! Tylko Paulina i Deloche, spotykając się czasem, pośród gwaru w oddziałach, utyskiwali nad losem łagodnej i zacnej Dyonizy.

— Ach! — mówił Deloche — jeżeli jej się powiedzie gdzieindziej, chciałbym, żeby tu powróciła i zdeptała wszystkie te nic dobrego.

Bourdoncle musiał wytrzymać za to wszystko gwałtowną napaść Moureta, który dowiedziawszy się o wydaleniu Dyonizy, wpadł w straszne rozdrażnienie. Zwykle bardzo mało się on troszczył o personel magazynu; lecz tym razem udawał, że w tem widzi targnięcie się na jego prawa, wyswobodzenie się z pod jego władzy.

— Czy ja tu już przestałem być panem, żeby się odważano wydawać rozkazy? Wszystko musi mi być wiadome, bez wyjątku — wszystko! A gdy mi się kto ośmieli opierać... skruszę go jak słomkę.

Przeprowadził potem osobiście śledztwo, z nerwowem rozdrażnieniem, którego utaić nie mógł; rozgniewał się na nowo. Ta biedna dziewczyna nie kłamie; to był rzeczywiście jej brat; Champion

doskonale go poznał. Więc dla czegoż ją wydał? Wspomniał coś nawet o tem, żeby ją wezwał na powrót. Bourdoncle mocny w swym oporze, zginał kark przed burzą i obserwował zniecka Moureta. Nakoniec pewnego dnia, kiedy mu się wydawał spokojniejszy, odważył się powiedzieć, szczególnym jakimś głosem:

— Dla wszystkich lepiej, że odeszła.

Mouret zmieszał się... krew mu uderzyła do twarzy.

— Może masz słusność—odpowiedział ze śmiechem. — Zejdźmy zobaczyć, jak idzie sprzedaż? Ożywia się, wczoraj utargowano około stu tysięcy franków.

ROZDZIAŁ III.

Przez niejaką chwilę, stała Dyoniza odurzona na bruku, pod dopiekającym jeszcze słońcem, było bowiem około godziny piątej. Lipiec wysuszył rynsztoki, Paryż przybrał kredowy blask lata, oślepiający swem migotaniem. Katastrofa zaś była tak nagła, wypchnięto ją na ulicę tak brutalnie, że obracając w kieszeni otrzymane dwadzieścia pięć franków i siedemdziesiąt centymów, zapytywała siebie, co począć i gdzie się obrócić?

Szereg dorożek nie pozwalał jej zejść z chodnika, na który wychodził Magazyn Nowości. Skoro tylko mogła odważyć się wejść pomiędzy koła, przeszła przez plac Gaillon, jak gdyby chciała się dostać na ulicę Louis-le-Grand; potem opamiętała się i weszła na ulicę Ś-go Rocha. Jednakże nie miała obmyślonego planu, bo się zatrzymała na ulicy Neuve-des-Petits-Champs, którą postępowała coraz dalej, rozejrzawszy się w pierwszej dookoła z miną niepewną. Napotkawszy pasaż Choiseul, weszła tam i ujrzała się na ulicy Montsigny, sama nie wiedząc, jakim sposobem; ztam-

tąd znów się dostała na ulicę Neuve-Saint-Augustin. Ogromny szum napelniał jej głowę; przyszła jej na myśl waliza, spostrzegła bowiem komisionera, lecz gdzie ją kazać odnieść i na co ten cały trud, kiedy jeszcze przed godziną miała łóżko do spania?

Podniosłszy oczy na domy, zaczęła się przypastrywać oknom. Karty wszędzie bielaly. Ale widziała je jak przez mgłę, ulegając ciągle silnemu wzruszeniu. Czy to podobna, żeby się tak samotna pozostała w jednej chwili, wśród tego nieznanego i wielkiego miasta, bez niczyjej pomocy i bez środków? Jednakże trzeba było jeść i spać. Ulice szły jedna za drugą: des Moulins, Sainte-Anne. Przebiegała dzielnicę, chodząc ciągle w kółko i wracając do jedyne go placu, jaki znała. Nagle osłupiała znalazłszy się znów przed Magazynem Nowości; żeby uniknąć uporczywego kołowania, przeszła na ulicę Michodière.

Na szczęście nie było na progu stryja Baudu, Vieil Elbeuf wydawał się martwym, po za zczerniałemi szybami. Nigdyby się nie odważyła wejść; stryj udawał bowiem, że jej nie poznaje; przytem nie chciała mu być ciężarem, popadłszy w nieszczęście, które jej przepowiadał. Lecz z drugiej strony ulicy, spostrzegła kartę: *pokoje umebrowane do najęcia* i zatrzymała się przed nią. Pierwsza to karta, nie zbudziła w niej obawy, tak się ten dom wydawał ubogim. Poznała go na koniec, po dwóch niskich piętrach i zardzewiałej

fasadzie, ściśniętej pomiędzy Magazynem Nowości i staroświeckim hotelem Duvillarda. Na progu sklepu parasoli, stary Bourras, z długimi włosami i brodą jak u proroka, w okularach na nosie, przypatrywał się gałce do laski z kości słoniowej. Będąc jedynym lokatorem w całym domu, odnajmował pokoje obu pięter, dla zmniejszenia swego komornego.

— Czy pan masz wolny pokój? — spytała Dyoniza, ulegając jakiemuś mimowolnemu popędowi.

Podniósł oczy z pod gęstych krzaczastych brwi, zdziwiony, że ją widzi przed sobą. Wszystkie te panny były mu znane. Obejrzawszy czyściutką suknię i przyzwoitą powierzchowność, odpowiedział:

— To nie dla pani.

— Wieleż pan żąda?

— Piętnaście franków na miesiąc.

Poprosiła, żeby jej pokazał ten pokój. W ciasnym sklepie, kiedy ją wciąż badał ciekawym wzrokiem, opowiedziała mu swoje wydalenie z magazynu i chęć nienarzucania się stryjowi, Stary poszedł zdjąć klucz z półki będącej w izbie za sklepem, małej ciemnej ciupce, gdzie gotował sobie jeść i sypiał; — ztamtąd przez zapyloną szybę, widać było zielonkawę światło podwórka, mającego dwa metry szerokości.

— Pójdę naprzód, powiedział Bourras, żebyś panna nie upadła w wilgotnym pasażu, ciągnącym się wzdłuż sklepu.

Potknąwszy się na pierwszym stopniu wschodów, szedł wyżej, ciągle ją ostrzegając. Baczność! jest poręcz przy ścianie... na skrócie dziura, gdzie lokatorowie wystawiają czasem skrzynki ze śmieciami. Dyoniza postępując wśród zupełnej ciemności nic nie widziała; czuła wilgotny chłód tynku. Jednakże na pierwszym piętrze światło z okna wychodzącego na podwórze wskazało, choć niedokładnie, jak na dzień, wody stojącej, wschody potrzaskane, ściany czarne od brudu, drzwi skrzypiące i niemalowane.

— Gdyby przynajmniej choć jeden z tych pokoi był wolny! — powiedział Bourras, toby dobrze było. — Ale one są zawsze zajęte przez kobiety.

Na drugim piętrze, gdzie było jaśniej, opustoszenie mieszkania stało się jeszcze widoczniejszym. Chłopiec od piekarza zajmował pierwszy pokój; a po za tym była wolna izdebka. Bourras otworzywszy drzwi, zmuszony był pozostać na wschodach, żeby Dyoniza mogła ją dogodnie obejrzeć. Łóżko w kącie za drzwiami pozostawiało wolne przejście dla jednej tylko osoby. Stała tam komoda orzechowa, stół sosnowy zczerniały i dwa krzesła. Lokatorowie, którzy u siebie gotowali obiad, klękali przed kominkiem, gdzie się znajdował piecyk gliniany.

— Tu nie bogato — powiedział stary — ale okno wesole, bo widać ruch uliczny.

Dyoniza spoglądała ze zdziwieniem na róg sufitu, ponad łóżkiem, gdzie jakaś chwilowa lokatorka, wypisała kopciem od świecy, imię swoje Ernestyna. Starzec dodał dobrodusznie:

— Żebym chciał naprawiać, nigdybym na swoje nie wyszedł... Słowem, oto wszystko co mogę ofiarować.

— Będzie mi tu dobrze—odrzekła dziewczyna.

Zapłaciwszy za miesiąc z góry, zażądała bielizny, dwóch prześcieradeł i dwa ręczniki. Natychmiast posłała sobie łóżko, uspokojona, szczęśliwa, że ma gdzie noc przepędzić. W godzinę potem posłała po walizę i była zainstalowana.

Przez dwa pierwsze miesiące, doznawała strasznej biedy. Nie mogąc płacić za Pépé, wzięła go do siebie i sypiał na starej kanapie pożyczonej od Bourrasa. Potrzebowała koniecznie trzydziestu sous na dzień, licząc w tem komorne i skazując siebie na żywienie się suchym chlebem, aby malec miał kawałek mięsa. W pierwszych dwóch tygodniach jeszcze działało jej się jako tako; rozpoczęła gospodarkę z dziesięciu frankami; potem udało jej się odszukać dłużniczkę swoją, dostarczyć krawatów, która jej oddała dziewiętnaście franków; ale wydawszy tę sumkę znalazła się w zupełnej nędzy. Napróżno udawała się do magazynów: na placu Clichy, *Bon Marché* i Luwru, letnia pora powstrzymała wszystkie interesy, kazano jej czekać do października; więcej niż pięć tysięcy osób, odprawionych z różnych han-

dlów, zbijało, jak ona, bruki bez zajęcia. Potem starała się o robótki; lecz nie znając Paryża, nie wiedziała gdzie się po nie udawać; brała robotę nieopłacającą się, a nawet często zapłata przepadała. Czasami starczyło jej tylko na rosół dla Pépé; sama zaś nic nie jadła; mówił mu, że się posiliła za domem; kładła się do łóżka z szumem w głowie i gorączką palącą ręce. Gdy Jan wpadł do niej wśród tej nędzy, nazywał siebie zbrodniarzem z tak gwałtowną rozpaczą, że była zmuszona kłamać częstokroć; jednak zdobywała się na udzielenie mu czterdziestu sous, żeby dowieść, że ma coś zaoszczędzonego. Nigdy wobec dzieci nie płakała. Gdy uciulała tyle, że w niedzielę mogła w domu upiec kawałek cielęciny klęcząc na podłodze przed kominem, oiasna stancyjka napępniała się wesołemi okrzykami dzieci bez troski o życie. Potem Jan wracał do swego majstra, Pépé usypiał, ona zaś przepędzała okropną noc w niepokoju o jutro.

Inne obawy jeszcze ją dręczyły: dwie damy mieszkające na pierwszym piętrze, przyjmowały wizyty późno w noc, czasami mężczyzna jaki omylił się i stukał pięściami do jej drzwi. Ponieważ Bourras zalecił jej najspokojniej, nie nie odpowiadać, wsuwała głowę pod poduszkę, ażeby nie słyszeć wymyślań. Prócz tego sąsiad jej piekarz miał często ochotę żartować; powracał on zawsze rankiem do domu; podpatrywał, gdy szła po wodę; przewiercał nawet dziury w ścianie by patrzeć,

skoro się umywała, co ją zmusiło do rozwieszenia garderoby na całej ścianie. Lecz najgorzej dokuczało jej na ulicy ciągle zaczepianie przechodniów. Nie mogła wyjść kupić świecy, ażeby na tych błotnistych chodnikach, gdzie się wałęsała rozpuszta starych dzielnic, nie czuć po za sobą gorących oddechów i nie usłyszeć słów obelżywych. Mężczyźni gonili za nią aż do ciemnego przejścia, ośmieleni brudnym pozorem domu. Dla czego nie ma kochanka? dziwiło to i wydawało się śmiesznem. Przecież będzie musiała nakoniec upaść.

Ona sama nie umiałaby na to odpowiedzieć dla czego się opiera, pomimo grożącego głodu i podnieconych żądz, jakie rozgrzewały atmosferę dookoła niej. Pewnego wieczoru, gdy Dyoniza nie miała nawet chleba dla Pépé, jakiś orderowy pan zaczął ją ścigać. Przed ciemnym korytarzem stał się grubianinem, ona zaś przejęta wstrętem, zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Przyszedłszy na górę, usiadła i złożyła ręce. Malec spał. Co ja mu powiem, skoro się obudzi głodny? myślała. Gdyby się tylko była zgodziła, już by po biedzie było; zjawilyby się pieniądze, suknia, piękny pokój i to tak łatwo; mówią, że wszystkie na tem kończą, bo w Paryżu kobieta nie może wyżyć z pracy. Lecz całą siłą swej istoty broniła się od tego, bez oburzenia dla innych, kierując się jedynie wstrętem do rzeczy brudnych i nierozsądnych. Wyrobiła w sobie ideę, że trzeba żyć loicznie, rozważnie i mężnie. Nieraz ba-

dała sobie w ten sposób. Miała ona w pamięci starodawny romans, który opiewał narzeczoną marynarza, oczekującą powrotu jego ze świadomością niebezpieczeństw, jakie go mogą spotkać. Często w Valognes, nuciła tęskne te zwrotki, patrząc na pustą ulicę. Czy ona miała w sercu tkliwe uczucie, że była tak mężną? Myślała jeszcze o Hutinie, z przykrem wrażeniem. Rano i wieczór widziała go, przechodzącego pod jej oknem. Wyszedłszy już na starszego subiekta, chodził zawsze sam jeden, pośród oznak szacunku młodszych. Nigdy nie podnosił głowy, zdawało jej się, że ją boli jego próżność; śledziła go wzrokiem, nie bojąc się być podpatrzoną. Gdy ujrzała Moureta, który również codzień przechodził, porywały ją dreszcze i czemprędzej chowała się, czując dławienie w gardle. Niepotrzebował on wiedzieć, gdzie mieszka; wstydziła się tego domu; prześladowało ją to jeszcze, że może źle o niej myśleć, chociaż była przekonaną, że się nigdy już nie spotkają. Zresztą mieszkała ona zawsze wśród ruchu Magazynu Mód. Jedna tylko ściana, oddzielała jej pokój od dawniejszego jej oddziału i od rana rozpoczynała dawne swe życie, czuła wchodzący tłum, wzmagający się zgłęb sprzedaży. Od najmniejszego hałasu, wstrząsała się lepianka, przyklejona do boku kolosu i chwiała się od jego olbrzymich uderzeń pulsu. Oprócz tego Dyoniza nie mogła uniknąć spotkań. Parę razy znalazła się oko w oko z Pauliną, która ofiarowa-

ła swą pomoc, wzruszona jej niedolą. Musiała nawet kłamać, aby nie dopuścić odwiedzin przyjaciółki u siebie lub nie pójść w niedzielę do Baugé. Lecz najtrudniej było jej się bronić przeciw zrozpaczonej miłości Deloche'a; śledził ją i wiedział o wszystkich jej troskach; wyczekiwał podedrzwiami. Pewnego wieczoru, chciał jej pożyczyc trzydzieści franków z oszczędności swego brata, jak mówił, czerwieniąc się. Te spotkania, wzbudzały w niej żal za Magazynem Mód; wewnętrzne jego życie zajmowało ją tak, jak gdyby go nie opuszczała.

Nikt do niej nie przychodził. Pewnego południa zdumioną więc była słysząc, iż ktoś puka. Był to Colomban. Przyjął ją stojący. On zaś mocno zakłopotany, bełkotał, pytając o jej zdrowie i mówił o Vieil Elbeuf. Może stryj Baudu go przysłał, pożałowawszy swej srogości; bo się wciąż nie kłaniał swej synowicy, a nie mógł przecie nie wiedzieć o jej nędzy. Lecz gdy się nalegająco rozpytywała o to, jeszcze się więcej zakłopotał; nie, to nie pryncypał mnie przysłał... i przyznał się nareszcie, że chce tylko pomówić o Klarze. Powoli ośmielił się i prosił o radę, myśląc, że Dyoniza mogła mu być użyteczną, wobec dawnej koleżanki. Napróżno mu wymawiała, że rani uczucia Genowefy, dla dziewczyny bez serca. Przyszedł i drugiego dnia, nakoniec przyzwyczaił się ją odwiedzać. Wystarczało to dla jego lękliwych uczuć. Ciągłe wznawiał o tem rozmo-

wę, pomimowoli drząc z radości, iż jest z kobietą, która była tak blisko Klary. Dyoniza wskutek tego jeszcze się bardziej zbliżała do Magazynu Nowości.

Przy końcu września, doświadczyła najczarniejszej nędzy. Pépé zachorował na silny i niepokojący katar; trzeba go było koniecznie żywić bulionem, ona zaś nie miała chleba. Pewnego wieczoru, kiedy zrozpaczona głośno płakała, w tym kryzysie, jaki popycha dziewczęta w rysztek albo do Sekwany, stary Bourras lekko zapukał: przyniósł jej chleb i blaszankę bulionu.

— To dla malca — powiedział szorstko. — Nie płacz tak głośno, bo niepokoisz lokatorów.

Gdy mu dziękowała z nowym wybuchem łez, powiedział:

— Dajże już panna pokój.., przyjdź jutro pogadać ze mną. Mam dla panny robotę.

Bourras przestał używać robotnic, odkąd Magazyn Nowości zadał mu okropny cios, urządzając u siebie sprzedaż parasoli i parasolek. Dla zmniejszenia wydatków, sam dokonywał wszystkiego: czyścił, naprawiał i szył. Zresztą klientela tak dalece zmiejszyła się, że niekiedy wcale nie miał roboty. Dla tego to umieściwszy Dyonizę nazajutrz w jednym kącie sklepu, musiał obmyślać dla niej zajęcie. Przecież nie mógł na to pozwolić, żeby umierano w jego domu.

— Będziesz panna brała czterdzieści sous dzien-
nie; skoro znajdziesz co lepszego, to mnie po-
rzucisz.

Ze strachu tak się pośpieszyła z robotą, że go
to wprowadziło w kłopot, żeby wynaleźć inną. —
Były to jedwabne bryty do zeszywania i koronki
do naprawy. W pierwszych dniach nie śmiała
podnieść głowy, tak jej to odejmowało swobodę,
że go ciągle czuje przy sobie z tą grzywą starego
lwa, z nosem zakrzywionym, haczykowatym
i przenikliwemi oczami, pod parą krzaczastych
i najeżonych brwi. Głos jego był ostry, ruchy
waryackie; matki z całej dzielnicy straszyły mal-
ców, że posłą po niego, jak się to czasem mówi
o zandarmach. Jednakże ulicznicy nie przeszli
nigdy koło sklepu, żeby nie krzyknąć jakiej obel-
gi, której niby to nie słyszał. Całą swoją wa-
ryacką złość wywierał na niegodziwców, którzy
ujmę czynili jego rzemiosłu, sprzedając parasole
tanie, tandetne, jakichby, powiadał — i psy nie
chciały.

Dyoniza drżała, gdy krzyczał jak szalony:

— Artyzm już przepadł, wierzaj mi panna; już
nie ma przyzwoitych rączek do parasoli; robią
teraz kije, ale co się tyczy rączek, to już koniec!..
Wynajdź mi choć jedną rączkę, a dam ci dwadzie-
ścia franków.

Pokładał w tem swą dumę, że ani jeden rze-
mieślnik paryzki, nie umie zrobić rączki tak lek-
kiej i trwałej jak on, jako artysta. Zwłaszcza też

gałkę rzeźbił z wielką fantazyą i urozmaiceniem: to kwiaty, to owoce, to zwierzęta lub głowy, a wszystko to było drgające życiem.

— Dzisiejsi fabrykanci to nieuki, którzy po prostu przyklejają materyę do fiszbinów — mówił — kupują rączki hurtem gotowe. Tyle też za nie biorą, ile warte... Zaginęła już sztuka, słyszysz panna?

Zczasem ośmieliła się jednak Dyoniza. Przepadając za dziećmi, zażądał żeby Pépé przychodził bawić się do sklepu. Skoro malec zaczął się czoięgać na czworakach, nikt się już nie mógł ruszyć: ani ona zajęta w głębi sklepu naprawianiem koronek, ani Bourras, rzeźbiący drzewo swym scyzorykiem przy oknie. Codzię powtarzała się ta sama robota i te same rozmowy. — Pracując nie przestawał on mówić o *Bonheur des Dames* i niez mordowany był w objaśnianiu, jak stoi obecnie jego straszny pojedynek. Od r. 1845, zajmował on ten dom, który wydzierżawił na lat trzydzieści, za tysię osiemset franków rocznie: ponieważ zwracało mu się tylko tysię franków za cztery umeblowane pokoje, wypadało osiemset franków za sklep. Było to tanio, zwłaszcza, że nie ponosił kosztów odświeżania, bo jeszcze długo mógł wytrzymać w tym stanie. Słuchając starca mogłoby się zdawać, że zwycięztwo jego jest niewątpliwe, że pochłonie potworu.

Nagle pytał:

— Czy oni mają takie psie głowy?

Mrużąc oczy po za okularami, przyglądał się rzeźbionemu psu, z wargą odwiniętą, zębami wyszczerzonymi, czekającemu zawzięcie. Zachwycony Pépé, wspinał się na paluszki, opierając rączki na kolanach starego.

— Byleby się końce schodziły, kpię z reszty— mówił on dalej, wyrzynając delikatnie język końcem scyzoryka. — Ci hultaje pozbawili mnie dochodów, ale choć nie mam już zysków, to jeszcze jednak nie tracę, albo przynajmniej niewiele. Raczej życie poświęcę, aniżeli mu ustąpię.

Potrząsał w powietrzu swoim nożykiem i białe włosy rozwiewały mu się ze złości.

— Jednakże, gdyby ofiarowano przyzwoitą sumę, byłoby rozsądniej ją przyjąć — odważyła się powiedzieć Dyoniza, nieodwracając oczu od igły.

Wtedy dzika zaciętość Bourrasa wzmagała się:

— Nigdy!... Z nożem na gardle, wołałbym nie! Kontrakt mi służy jeszcze na dziesięć lat... a więc dziesięć lat nie zabiorą tego domu; choćbym miał zginąć z głodu, w czterech pustych ścianach. — Już dwa razy przychodzili, żeby mnie otumanić. Ofiarowali mi dwanaście tysięcy franków za towar, a osiemnaście tysięcy za pozostające lata dzierzawy, razem trzydzieści tysięcy; ale nawet za pięćdziesiąt nie ustąpię! Trzymam ich w garści i chcę, żeby mi nogi lizali.

— To jednak piękna suma, trzydzieści tysięcy— mówiła znowu Dyoniza.—Mógłbyś pan otworzyć sklep gdzieś dalej... a gdyby kupili ten dom?

Bourras, który wykończył już język psu, milczał chwilę z dziecięcym uśmiechem na twarzy, jakby śniegiem przypruszonej. Potem znowu rozpoczął:

— Dom? tego się nie boję... Przeszłego roku mówiono o tem i dawali osiemdziesiąt tysięcy, dwa razy tyle co wart obecnie. Ale właściciel, były handlarz owoców taki nicpoń jak oni, chciał z nich łyka ciągnąć. Zresztą mnie się obawiają i wiedzą że ja tembardziej nie ustąpię. Niel niel Jestem tu... i pozostanę! Nawet cesarz, wszystkiemi swemi armatami nie poruszyłby mnie ztąd!

Dyoniza nie śmiejąc już ust otworzyć, dalej zajęta była igłą; starzec zaś wygłaszał urywkowe frazesa, pomiędzy jednym a drugim cięciem scyzoryka:

— To się dopiero zaczyna—mówił—później będą się dziać osobliwe rzeczy... mam pomysły, które wymiotą parasole z ich magazynu.

W głębi tego uporu tkwił bunt małego fabrykanta wyrobów artystycznych, przeciwko zalaniu rynku towarem tuzinkowej wartości.

Pépé, dostawszy się nareszcie na kolana Bourrasa, niecierpliwie wyciągał rączęta do psa.

— Daj, panie!

— Zaraz, mój malcze—odpowiadał stary miękkim głosem—on nie ma oczu; trzeba mu teraz zrobić oczy. — Wyrzynając znowu zwracał się do Dyonizy.—Słyszysz panna, co oni wyrabiają?... To mi zgiełk... nie mię tak nie gniewa jak to, że ich

ciągle muszę mieć za plecami i słyszeć ten przekłety syk jakby lekomotywy. Aż mi stolik podskakuje od tego rejwachu — mówił. — Cały sklep się trzęsie; siedzę tu godzinami bez klientów, patrząc jak się wszyscy cisną do Magazynu Nowości. — Do samego wieczoru wiecznie się koło tego przedmiotu kręcił. — Znowu mieli dobry dzień — mówił — łoskot był za ścianą, jedwabie musiały przynieść z dziesięć tysięcy franków; lub też pocieszał się, że ściana zimna, nawalny deszcz przeszkodził... — Najmniejszy ruch, najlżejszy szelest, komentował w ten sposób bez końca. — Słyszysz panna? zsunął się kosz... Ach bodajby sobie wszyscy zebra połamali. A teraz... damy się sprzeczać. Tem lepiej, tem lepiej! A co, słyszysz panna, jak spuszczaają paki do suterenu? Aż obrzydzenie bierze!

Dyoniza nie mogła objawiać przeciwnego zdania, bo jej zaraz przypominał, w jak niegodny sposób ją wydalili. Musiała mu po raz setny opowiadać o swoich przygodach w oddziale okryć: o przykrym debiucie, o niezdrowych pokoikach i złem pożywieniu, o ciągłej wojnie między sprzedającymi. Od rana do nocy oboje mówili tylko o Magazynie Nowości i ciągle połykali go niejako wraz z otaczającym powietrzem.

— Daj, paniel — powtarzał Pépé gwałtownie wyciągając rączki po niewykończoną psią głowę. Bourras oddalał ją i przybliżał do siebie, wesoło jak dziecko.

— Ostrożnie, bo cię ugryzie!... Masz, baw się; tylko pamiętaj nie złamać.

Znowu opanowany swą *idée fixe*, pięścią wygrażał ścianie.

— Napróżno rozpieracie się, żeby ten dom upadł; nie dostaniecie go, choćbyście zajęli całą dzielnicę.

Dyoniza codzień miała teraz chleb, za co czuła żywą wdzięczność dla starego fabrykanta parasoli, w którym widziała dobre serce, pomimo gwałtownych wybuchów i dziwaotw. Z całej duszy pragnęła jednak znaleźć zajęcie gdzieindziej, nie łudząc się, że on sili się na wymyślanie drobnych robót dla niej i że w tym upadku swego handlu nie potrzebuje wcale robotnicy i używa jej jedynie z litości. Minęło sześć miesięcy, nadchodziła martwa pora zimowa. Dyoniza nie miała nadziei umieszczenia się przed marcem, kiedy pewnego wieczoru Deloche, który czyhał gdzieś na nią w bramie, zapytał:

— Dlaczego pani nie idziesz do Robineau, może tam potrzebna jest sklepowa?

W sierpniu Robineau zdecydował się być kupić interes Vingarda, jakkolwiek drżał ryzykując kapitał swej żony, wynoszący sześćdziesiąt tysięcy franków. Zapłacił za wyroby jedwabne czterdzieści tysięcy, na prowadzenie zaś całego interesu pozostało mu dwadzieścia tysięcy. Było to mało, ale miał od Gaujeana obietnicę długoterminowych kredytów. Od czasu zerwania stosunków

z Mouretm, Gaujean marzył o stworzeniu konkurencyi temu kolosowi. Zdawało mu się, że zwycięstwo jest możliwe, jeżeli się otworzy w sąsiedztwie kilka specjalnych składów, gdzie klientki znajdą wielką rozmaitość towarów. Tylko bogaci fabrykanci lyońscy jak Dumonteil, mogli się godzić na wymagania wielkich magazynów, zadawalniając się tem, że zajmują dla nich swe warsztaty, zyski zaś ciągnąć z pomniejszych domów. Ale Gaujean nie równał się w zamożności z Dumonteilem, długi czas był prostym komisantem, dopiero od pięciu czy sześciu lat miał własne warsztaty i teraz nawet wielkiej liczbie prywatnych tkaczy dawał surowy materiał na wyrób, płacąc za robotę od metra. Właśnie ten system powiększający jego rozchody, niepozwalał mu walczyć z Dumonteilem w dostawach Mouretowi obstalunków. Był zły o to i uważał Robineau za dogodne narzędzie, dla stanowczej wojny, wypowiedzianej tym bazarom nowości, które oskarżał o niweczenie fabrykacyi francuzkiej.

Zgłosiwszy się do sklepu Robineau, zastała Dyoniza tylko żonę jego. Jako córka dozorca dróg i mostów zupełnie nie znała się na handlu i miała jeszcze naiwny wdzięk pensyonarki, wychowanej w jednym z klasztorów w Chartres.—Była to mocna brunetka, bardzo ładna i wesoła, — co jej dodawało powabu. Szalała ona za swym mężem i tą miłością tylko żyła. Właśnie gdy Dyoniza

miała zostawić swoją kartę, Robineau powrócił i natychmiast ją przyjął, gdyż poprzedzającego dnia opuściła go jedna ze sklepowych, aby się umieścić w Magazynie Nowości.

— Nie pozostawiają nam ani jednej uzdolnionej osoby—rzekł.—Ale o panią będę spokojny, bo zarówno jak ja, nie musisz ich bardzo kochać... Przyjdź pani jutro.

Wieczorem Dyoniza była w kłopotcie: jak oznajmić staremu Bourras, że go opuszcza. Rzeczywiście nazwał ją niewdzięczną i unosił się gniewem; a gdy się broniła ze łzami w oczach, dając mu do zrozumienia, że się poznała na jego czynie miłosiernym, rozczulił się, nazwał ją kłamczynią, bełkotał coś, że ma dużo roboty i że właśnie w tej chwili odchodzi, kiedy ma puścić w świat parasol swego pomysłu.

— A Pépé? — zapytał.

Dyoniza bardzo się troszczyła o dziecko. Nieśmiała go już oddać do pani Gras, a nie mogła też zamykać na cały dzień w swoim pokoiku.

— Ja go zatrzymam u siebie; temu malcowi dobrze jest w sklepie. Będziemy razem gotowali.

Gdy odmówiła przez delikatność, zawołał grzmiącym głosem:

— Panna mi niedowierzasz! Nie zjem ci przecież dziecka!

Dyonizie lepiej się powodziło u Robineau. Mała była zapłata, bo tylko sześćdziesiąt franków miesięcznie z życiem, bez procentu od sprzedaży,

jak we wszystkich staroświeckich handlach, ale ją traktowano bardzo dobrze, zwłaszcza też pani Robineau, zawsze z uśmiechem, siedząca przy swym kontuarze. On, nerwowy, drażliwy, bywał czasem szorstki. Po upływie miesiąca, Dyoniza należała niejako do rodziny, zarówno jak druga sklepowa, małeńka i milcząca suchotnica. Nie krępując się, mówiono przy nich o interesach przy stole wieczorem, w pokoju po za magazynem, wychodzącym na bardzo widne podwórze. Tam to pewnego dnia postawione zostało rozpoczęcie kampanii przeciw magazynowi mód.

Gaujean przyszedł na obiad. Przy pieczystem składającym się z pieczonego udźca baraniny, przystąpił do kwestyi i swym matowym głosem lyończyka, zgrubiałym skutkiem mgły panującej nad Rodanem, powiedział:

— To już nie do zniesienia... Zamówili u Dumonteila deseń na własność wynalazku, żądając od razu trzysta sztuk, z warunkiem: żeby odstąpił pięćdziesiąt centymów na metrze. Ponieważ płacą gotówką, zyskują jeszcze na dyskoncie osiemnaście procentów... Często się zdarza, iż Dumonteil nie zarobi i dwudziestu centymów. Podejmując się tylko dla zajęcia warsztatów, bo jak próżnują, grozi to śmiercią fabryce. Więc jakże my, mając mniej warsztatów, a zwłaszcza udając się do prywatnych tkaczy, możemy stawać do walki?

Robineau zamysłony, zapomniał o jedzeniu.

— Trzysta sztuk—rzekł z cicha — ja drzę biorąc dwanaście i to na trzy miesiące. Oni mogą ogłaszać franka, dwa franki taniej od nas. Obliczyłem, że ich towary katalogowe są tańsze, w porównaniu z naszymi i to właśnie zabija drobny handel.

Znajdował się w tej chwili pod wpływem silniejszego zniechęcenia. Żona zaniepokojona, z tkliwością spoglądała na niego. Nic się nie знаła na interesach, wszystkie te cyfry nużyły ją; nie pojmowała, dlaczego się ludzie dręczą i troszczą, kiedy tak łatwo śmiać się i kochać. Jednakże dostateczne było dla niej, że mąż chce zwyciężyć; rozamiętniała się wraz z nim i gotowa była umrzeć przy swym kontuarze.

— Dlaczego nieporozumieją się z sobą wszyscy fabrykanci?—odezwał się znowu Robineau gwałtownie. — Narzucaliby swoje prawa, zamiast się cudzym poddawać?

Gaujean, który poprosił o drugi kawałek baraniny, żuł ją powoli.

— Aa... dlaczego... dlaczego... Warsztaty muszą być w ruchu, jak powiadam. Mając je rozrzucone prawie po całym kraju, nie można zawieszać robót, nawet na jeden dzień, bo straty są ogromne... Prócz tego, my co używamy czasami prywatnych tkaczy, mając sami po dziesięć lub piętnaście warsztatów, jesteśmy większymi panami produkcji pod względem zapasów, podczas gdy wielcy fabrykanci muszą się starać ciągle o odbyć jak

najszerszy i jak najprędszy. Dlatego padają na kolana przed wielkimi magazynami. Znam trzech czy czterech, którzy się o nie ubiegają i wolą tracić, byleby odbierać zamówienia. Wynagradzają zaś to sobie na małych składach, jak pański. Tak, im zawdzięczają egzystencję, a wam zarobek... Bóg wie, jak się ten kryzys zakończy!

— To ohydne!—zakonkludował Robineau i doznał ulgi po tym gniewnym okrzyku.

Dyoniza słuchała milcząc. W głębi duszy trzymała ona stronę wielkich magazynów, przez instynktowny pociąg do loiki i ruchu. Wszyscy również milczeli, jedząc konserwę z zielonego szabelbonu. Nareszcie odważyła się powiedzieć z wesołą miną:

— Publiczność nie uskarża się na to.

Pani Robineau nie mogła się powstrzymać od cichego śmiechu, z czego byli niezadowoleni mąż jej i Gaujean. Zapewne, klienci są radzi, bo wszakże to oni korzystają z obniżki cen... Ale każdy żyć musi; dokądżeby się zaszło, gdyby pod pozorem powszechnego szczęścia, chciano tuczyć spożywcę, krzywdą wytwórcy? Powstała ztąd dyskusya, Dyoniza w żartobliwej formie odzywała się ze zdrowymi argumentami. Dowodziła ona, że usunięcie pośredników, agentów fabrycznych, reprezentantów, wędrujących komisantów, przyczyniało się wiele do obniżenia cen. Fabrykanci nie mogą już żyć bez wielkich magazynów, bo skoro który traci ich klientelę, zaraz upada. Na-

koniec w tem wszystkim zawiera się naturalny rozwój handlu i nie można powstrzymać biegu rzeczy, do którego się wszyscy mimowoli przyczyniają.

— A więc pani trzymasz z tymi, którzy cię wyrzucili na ulicę?—zapytał Gaujean.

Dyoniza mocno się zaczerwieniła, dziwiąc się sama, że tak żywo broni tej sprawy. Cóż się w jej sercu dzieje, żeby taki płomień wdzierał się do piersi?

— Ależ nie, mój Boże! Może się mylę, panowie jesteście bardziej kompetentni. Tylko powiedziałam, co myślę. Dziś o cenach nie stanowi pięćdziesiąt domów, jak dawniej, ale cztery lub pięć, które je obniżyły skutkiem potęgi swych kapitałów i licznej klienteli. Tem lepiej dla publiczności, oto com chciała przez to powiedzieć.

Robineau nie gniewał się: z poważną miną wpatrzony był w obrus. Nieraz czuł on już powiew nowych idei o handlu i rozwój, wspomniany przez Dyonizę. W chwilach trzeźwego zapatrywania się na rzeczy, zapytywał siebie, dla czego się opierać tak silnemu prądowi, który wszystko porywa? Nawet pani Robineau, widząc zadumę swego męża, potakiwała wzrokiem Dyonizie, która skromnie znowu milczała.

— Wszystko to są teorye—odezwał się Gaujean, aby położyć temu koniec. — Mówmy o naszym interesie.

Po serze, służąca podała konfitury i gruszki. Gość nałożył sobie konfitur i jadł je łyżką machinalnie, łakomo, bo jako otyły mężczyzna przepadał za słodyczami.

— Trzeba żebyś pan podkopał *Paris Bonheur*, które ich wzbogaciło tego roku! Porozumiałem się z kilku kolegami z Lyonu i przybywam z wyjątkową propozycją: oto materya czarna *faille*, którą będzie pan mógł sprzedawać po pięć franków sześćdziesiąt centymów, nieprawda? O dwa sous będzie więc tańsza; to wystarczy, zabijemy ich.

Oczy Robineau znowu zapalały ogniem. Skutkiem nerwowego rozdrażnienia, przeskakiwał on nagle z obawy do nadziei.

— Masz pan próbkę? — zapytał.

Skoro Gaujean wyjął z pugilaresu kawałek materyi, do reszty rozegzaltował się i zaczął wołać:

— Ależ ona piękniejsza od *Paris Bonheur*! W każdym razie efektowniejsza, bo *grain* ma grubsze. Masz pan słuszność, trzeba rozpocząć wojnę. Muszą leżeć u moich nóg, albo upadną tak, że się już więcej nie podniosą.

Pani Robineau, dzieląc jego zapał, zawyrokowała, że materya jest przepyszna. Nawet Dyoniza uwierzyła w jej powodzenie. Koniec obiadu zatem był bardzo wesoły. Rozmowa szła z takim zyciem, jak gdyby *Bonheur des Dames*, konało. Gaujean dojadający słoika konfitur, dowodził, że

tak on jak koledzy, będą musieli robić ogromne poświęcenie, żeby tak dobrą materję sprzedać tak tanio. Ale gdyby ich miało to nawet zrujnować, przysięgli, że zabiją wielkie magazyny. Właśnie gdy podano kawę, wzmogła się wesołość przybyciem Vinçarda. Przechodząc wstąpił on na parę słów do swego następcy.

— Świetna—rzekł macając materję.— Daję panu słowo, że ich zabijesz! Mówiłem, że złote jabłko bierzesz odemnie.

On sam wziął restauracyę w Vincennes. Było to dawne jego marzenie, skrycie pielęgnowane podczas kiedy się męczył na ulicy Neuve-des-Petits-Champs, drżał o to, że nie zdąży sprzedać sklepu przed ostateczną ruiną i poprzysięgał sobie, że tylko w taki handel włoży nieszczęsne swe pieniądze, gdzie można dobrze kraść.— Myśl o restauracyi przyszła mu do głowy na weselu kuzyna, gdzie kazano zapłacić dziesięć franków za pomyje z pływającymi kluskami.

Wobec państwa Robineau tak był uradowany, że się przez nich niespodziewanie pozbył złego interesu, że jego twarz, tryskająca zdrowiem, z małemi okrągłemi oczkami i szerokimi usty, zdawała się być jeszcze pełniejszą.

— A pańskie cierpienia? — zapytała uprzejmie pani Robineau.

— Co? moje cierpienia?—bąknął zadziwiony.

— Tak, reumatyzm, który panu tak dokuczał. Przypomniał sobie i zarumienił się lekko.

— Nie daje mi pokoju, ale powietrze wiejskie.. rozumie się... Bądź co bądź, zrobiliście państwo świetny interes. Gdyby nie reumatyzm, zanimby upłynęło lat dziesięć, usunąłbym się z dziesięcioma tysiącami franków renty, słowo honoru.

We dwa tygodnie później, zaczęła się walka pomiędzy Robineau i Magazynem Mód. Wielki miała rozgłos i przez niejaką chwilę, zajmowała cały handel Paryża. Robineau, używając broni swego przeciwnika, publikował w pismach i stroił wystawę, układał po za szybami ogromne stosy sławnej jedwabnej materyi i wypisywał na wielkich kartach cenę: pięciu franków pięćdziesiąt centymów. Cyfra ta sprawiała rewolucyę pomiędzy kobietami: o dwa sous tańsza materya od *Paris Bonheur* i jak się zdawało, w lepszym gatunku! Zaraz w pierwszych dniach, przychodziły roje klientek. Pani Marty kupiła suknię, której niepotrzebowała, pod pozorem oszczędności. Pani Bourdelais chwaliła materyę, ale wolała czekać przewidując zapewne, co się stanie. Istotnie w następującym tygodniu Mouret, obniżył cenę *Paris Bonheur* o dwadzieścia centymów. Miał on z Bourdoncle'm i współuczestnikami ostry spór, zanim ich nakłonił do przyjęcia wypowiedzianej wojny, nawet gdyby mu przyszło stracić. Te dwadzieścia centymów stanowiły wielką różnicę, gdyż była to cena kosztu. Robineau doznał nie-lada ciosu: nie przypuszczał, żeby współzawodnik obniżył cenę, bo jeszcze wówczas nie znano tych

zabójstw konkurencyi, oraz sprzedaży ze stratą. Fala klientek idąc za prądem obniżonych cen, przypłynęła zaraz na ulicę Neuve-Saint Augustin, a magazyn Robineau opróżnił się. Gaujean podążył z Lyonu: nastąpiły rozpaczliwe narady, wskutek których postanowiono środki heroiczne. Materya miała staniec o dziesięć centymów; chciano ją sprzedawać po pięć franków trzydzieści centymów, bo niższą cenę naznaczać byłoby już szaleństwem. Nazajutrz Mouret ogłosił swoją po pięć franków dwadzieścia centymów. Odtąd opanował ich zupełny szal. Robineau zaczął sprzedawać po pięć franków trzynaście centymów, a Mouret po pięć franków dziesięć centymów. Obaj zniżyli już tylko cenę o jeden sous, ponosząc ogromne straty za każdym razem, co czynili ten podarek publiczności. Klientki śmiały się, uradowane ich pojedynkiem, poruszone do głębi straszniemi ciosami, jakie sobie zadawały te dwa magazyny, żeby się im przypodobać. Nakoniec Mouret odważył się na cyfrę pięć franków; cała jego służba sklepowa była blada i przestraszona takim wyzwaniem losu. Robineau skołatany, udręczony, także zatrzymał się na pięciu frankach, nie mając odwagi obniżyć bardziej. Trzymali się na swych stanowiskach, jeden naprzeciw drugiego, otoczeni zgłiszczami swych towarów.

Ale chociaż honor był z obu stron ocalony, położenie Robineau groziło blizkim końcem. Magazyn Nowości miał kapitały i klientelę, dzięki

którym, zawsze była równowaga w dochodach, on zaś podtrzymywany tylko przez Gaujeana, nie mogący powetować strat na innych przedmiotach, wyczerpywał siły i codzień był bliższy bankructwa. Umierał wskutek swego zuchwalstwa, pomimo to, że zmienne koleje walki sprowadziły mu dużą klientelę. W głębi duszy dręczył się, że powoli wraca ona do Moureta; opuszczając jego, który tyle pieniędzy i wysień zmarnował, żeby ją pozyskać.

Pewnego dnia stracił do reszty cierpliwość: jedna z klientek, pani de Boves, przysłała obejrzeć okrycia, połączył bowiem magazynu konfekcyi ze specjalnością jedwabi. Nie mogła się zdecydować na żadne i ganiła materję a nakoniec rzekła:

— Ich *Paris Bonheur* jest daleko tęższe.

Robineau powstrzymując się, zapewniał że się myli, że zwykłą kupiecką grzecznością, tem większą, że się bał wybuchnąć.

— Spójrzysz pan z jakiej materji ta rotunda, powiedziała znowu, to zupełna pajęczyna... Bądź co bądź, ich materja na pięć franków, to skóra w porównaniu z pańską.

Nie odpowiadając już stał czerwony i z zaciśniętymi ustami. Właśnie przyszedł mu dowcipny pomysł do głowy, kupić na okrycia materję swego przeciwnika. W ten sposób Mouret, nie on, tracił na materyale; obcinał tylko brzeżek.

— Doprawdy, pani uważa, że *Paris Bonheur* jest tęższe? — wycodził przez zęby.

— O, sto razy! nie ma porównania -- odrzekła pani de Boves.

Obrażony był niesprawiedliwością klientki, uporczywie ganiącej jego towar. Gdy z wzgardliwą miną obracała rotondę na wszystkie strony, z pod podszewki ukazał się kawałek brzeżka niebiesko-srebrnego; nie mogąc dłużej hamować się, przyznał się wtedy; byłby wszystko poświęcił w tej chwili, nawet własną głowę.

— Jednakże ta materya to *Paris Bonheur*; sam ją kupilem, daję słowo! oto brzeżek!

Pani de Boves oddaliła się bardzo niezadowolona. Ta historia tak się rozgłosiła, iż go dużo dam opuściło. On zaś, pośród tej ruiny, ogarnięty trwogą o jutro, drżał tylko o żonę, wychowaną w dobrobycie i szczęściu, — nieumiejącą żyć w ubóstwie. „Co się z nią stanie, gdy się znajdziemy na bruku, obciążeni długami?” Obwiniął siebie o to, że zaryzykował jej sześćdziesiąt tysięcy franków. Musiała go pocieszać.

— Alboż te pieniądze nie należą do ciebie, zarówno jak do mnie? Kocham cię z całego serca, a więcej nic mi nie trzeba. Oddaję ci wszystko: serce i życie.

Słychać było, że się całują w pokoju za magazynem. Powoli ten stan rzeczy stał się normalnym, co miesiąc straty wzmagały się, ale potrosze, skutkiem czego fatalny koniec nie odrazu nastąpił. Jednakże nie tracąc nadziei, ciągle zapowiadali blizką ruinę Magazynu Nowości.

— Młodzi jesteśmy, mamy przyszłość przed sobą — mówili.

— Zresztą, mniejsza o to; zrobiłeś to, na czym ci zależało — dodawała żona. Bylebyś ty był zadowolony, to i ja nią będę; mój najdroższy!

Dyoniza przywiązywała się do nich, widząc jak się tkliwie kochali. Drżała i czuła nieuniknioną ruinę, ale nie śmiała się już mieszać. Wśród tych okoliczności zbadała ona do głębi potęgę nowego handlu i roznamiętniła się do tej siły, przeistaczającej Paryż. Wyobrażenia jej dojrzewały, z dzikiej dziewczyny, jaką przybyła z Valognes, przemieniła się na kobietę pełną wdzięku. Zresztą pędziła życie znośne, pomimo ciężkiej pracy i małego zarobku. Po całym dniu przebyłym na nogach, musiała wracać czempredzej do domu, żeby się zająć małym Pépé, którego, na szczęście Bourras chciał żywić; — ale zawsze miała coś do zrobienia: to koszulkę mu uprać, to bluzkę zaszyć, a dodać należy hałaśliwość malca, od której głowa jej pękała. Nigdy się nie kładła przed północą. Na niedzielę przypadała najcięższa robota: krzątała się po pokoju, obszywała siebie i tak była zajęta, że czasami czesała się dopiero po piątej godzinie. Jednakże przez rozsądek, udawała się nieraz na przechadzkę z dzieckiem; szli w stronę Neuilly, racząc się po drodze szklanką mleka. Jan nigdy im nie towarzyszył; tylko w ciągu tygodnia, kiedy niekiedy zjawił się wieczorem, ale zniknął zaraz, pod po-

zorem innych odwiedzin. Już nie żądał pieniędzy, tylko przychodził z miną tak smętną, że siostra zaniepokojona, odkładała dla niego sztukę sto sous. Był to jedyny jej zbytek.

— Sto sous! — wołał Jan, za każdym razem. Jakaś ty dobra! Właśnie żona papiernika...

— Cicho! — przerywała Dyoniza. Nie chcę o tem wiedzieć.

Sądząc, że go podejrzewa o przechwałki, mówił dalej:

— Mówię ci, iż jest żoną papiernika. Ach! że-
byś wiedziała, to coś wspaniałego!

Trzy miesiące upłynęły. Nastąpiła wiosna. Dyoniza nie chciała pojechać do Joinville z Pauliną i Baugé. Spotykała ich niekiedy na ulicy Ś-go Rocha, wychodząc od Robineau. Pewnego wieczoru, kiedy Paulina była sama, zwierzyła jej się, że może poślubi swego kochanka, ale się jeszcze waha, z powodu, że w Magazynie Nowości nie lubią zamężnych sklepowych. Ten projekt zadziwił Dyonizę, lecz nie śmiała dawać rad przyjaciółce. Colomban także ją kiedyś zatrzymał przy wodotrysku, żeby pomówić o Klarze, właśnie kiedy ona przechodziła przez plac. Dyoniza musiała uciec, bo ją błagał, żeby się zapytała towarzyszeki, czy zechce pójść za niego? „Co im wszystkim jest? Dla czego tak się dręczą!” Miała siebie za bardzo szczęśliwą, że nie kocha nikogo.

— Wiesz panna, co nowego? — zawołał pewnego wieczoru parasolnik, gdy powróciła do domu.

— Nie, panie Bourras.

— Ci łotrzy kupili hotel Duvillarda! Jestem obsaczony!

Machał długimi rękami, porwany taką wściekłością, że jeżyła mu się biała grzywa.

— Jest w tem jakaś plątanina, której trudno zrozumieć — mówił dalej. Podobno ten hotel należał do Kredytu Nieruchomego, a prezes baron Hartmann, jakoby ustąpił go naszemu sławnemu Mouretowi... Teraz mię otoczyli ze wszystkich stron: z prawej, z lewej, z tyłu, ot tak samo, jak ja tę gałkę, co trzymam w ręku.

Istotnie tak było; poprzedniego dnia podpisany został akt sprzedaży. Małeńki domek Bourrasa, ściśnięty pomiędzy Magazynem i hotelem Duvillarda, a przyczepiony jak jaskółcze gniazdo do szczeliny w murze, skazany był na zmiżdżenie w tym dniu, kiedy Magazyn zawładnie hotelem. Dzień ów nastąpił, kolos obsaczył słabą zawadę, otoczył ją nagromadzonemi towarami, groził że ją pochłonie, połknie, jedynie siłą potężnego technienia. Bourras czuł, że sklep jego trzeszczy w tym uścisku. Zdawało mu się, że już maleje; lękał się, że on tam zostanie pochłonięty i przejdzie na drugą stronę, wraz z parasolami i laskami; tak owa straszna maszyna sapała w tej chwili.

— A co, słyszysz panna! — wołał. Myślałby kto że gryzą ściany. W mojej piwnicy, na poddaszu, wszędzie to samo zgrzytanie piły trącej mur. Mniejsza oto, może mię nie spłoszczą, jakby arkusz papieru. Pozostanę choćby mi dach nad głową zerwali, choćby deszcz lał do łóżka jak z cebra!

W tej chwili Mouret przysłał Bourrasowi propozycję podwyższenia sumy i chciał zapłacić za towar oraz prawo dzierżawy pięćdziesiąt tysięcy franków. Wzmogło to jeszcze gniew Bourrasa i odmówił w obelżywy sposób.

— Ci łotrzy muszą dobrze okradać ludzi, żeby płacić pięćdziesiąt tysięcy za rzecz nie wartującą dziesięciu.

Bronił swego sklepu, jak uczciwa dziewczyna cnoty swojej, w imię honoru, przez poszanowanie siebie samego.

Dyoniza widziała, że przez dwa tygodnie pochłaniały Bourrasa jakieś ważne myśli. Kręcił się gorączkowo, mierzył mury swego domu i przyglądał mu się ze środka ulicy, z miną budowniczego. Nareszcie pewnego ranka, przyszli robotnicy. Była to stanowcza wojna; powziął bowiem zuchwałą myśl, pobić Magazyn Nowości na własnym gruncie, czyniąc ustępstwa nowożytnemu przepychowi.

— Klientki, które mi wymawiały ten ciemny sklep, z pewnością powrócą, ujrawszy go w świetnej szacie.

Najpierw, kazał pozalepiać szczeliny i odmalować fasadę; potem pociągnięto boazerję wystawy, jasno zieloną farbą, a nawet szyld został położony. Pochłonęło to trzy tysiące franków, które Bourras zachowywał na szczególną okoliczność. W całej dzielnicy sprawiło to rewolucję, ludzie przychodzili przyglądać mu się wśród tych przepychów; on zaś tracił głowę i był nie swój, jakby w obcym miejscu. Zdawał się innym człowiekiem, w tej świecącej ramie, na tem tle jasnym, kręcąc się po sklepie z wielką swą brodą i długimi włosami. Osoby idące przeciwległym chodnikiem, podziwiałały go, gdy machając długimi rękami rzeźbił swe rączki. Pożerała go ciągle gorączka, lękał się co powalać, coraz bardziej brnął w tem zbytkownem handlu, którego nie rozumiał.

Jak przedtem u Robineau, tak obecnie u niego wypowiedzianą była jawnie wojna Magazynowi Nowości. Bourras puścił w świat swój pomysł parasola *à godet*, który się później rozpowszechnił. Zresztą Magazyn Nowości natychmiast udoskonalił ten jego wynalazek. Wówczas nastąpiła walka o cenę. Miał parasole za franka dziewięćdziesiąt pięć centymów z zanelli, z oprawą stalową, nie do zdercia, jak opiewała przypięta etykieta. Ale głównie chciał pobić swego przeciwnika rączkami z bambusu, z dereniu, z oliwkowego drzewa, myrtowego, z trzciny indyjskiej. Magazyn Nowości, nie będąc takim artystą, dbał o ma-

teryę; zachwalał swoje alpagi, *mohairs*, lekkie wełniane materye i mantyny. Zwycięstwo zawsze przy nim pozostawało. Zrozpaczony starzec powtarzał, że sztuka upadła, rzeźbił swoje rączki dla własnej przyjemności, bez nadziei sprzedania ich kiedykolwiek.

— To moja wina! — mówił do Dyonizy. Nie trzeba mi było trzymać tandety po franku! oto do czego nowe idee mogą doprowadzić. Chciałem iść za przykładem tych zbójów, tem lepiej jeżeli przepadnę.

Lipiec był bardzo gorący. Dyonizie dukuczało to w jej dusznym pokoiku pod szyfrowym dachem. Dla tego przyszedłszy z magazynu, brała małego Pépé od Bourrasa i zamiast pójść zaraz na górę, szukała chłodu w Tuilieryjskim ogrodzie, bawiąc tam aż do zamknięcia bram. Pewnego wieczoru, zagłębiając się pomiędzy kasztanami, przelękała się bardzo; zdawało jej się, że wprost ku niej idzie Hutin. Po chwili, serce zaczęło jej bić gwałtownie, był to Mouret, który zjadłszy obiad na lewym brzegu, szedł pieszo do pani Desforges. Gdy Dyoniza zwróciła w bok, żeby go minąć, spojrzał i chociaż się zciemniało, poznał ją odrazu.

— To pani?

Nieodpowiedziała, zmieszana tem, że się raczył zatrzymać. On, uśmiechnięty, krył swe pomieszanie pod maską grzecznego protekcyonalności.

— Pani ciągle przebywasz w Paryżu?

— Tak, panie — odrzekła nareszcie.

Powoli odsuwała się i byłaby się chciała ukłonić a potem iść dalej. Ale zawróciwszy się szedł z nią pod cieniem dużych kasztanów. Nastawał chłód, zdaleka dolatywał śmiech dzieci bawiących się w serso.

— Wszak to brat pani? — zapytał znowu, patrząc na Pépé.

Malec onieśmielony niezwykłą obecnością nieznanego pana, szedł poważnie obok siostry, ściskając jej rękę.

— Tak, panie — rzekła znowu i zarumieniła się, przypominając sobie ohydne kłamstwa Małgorzaty i Klary. Mouret musiał odgadnąć powód jej rumieńców, dodał bowiem śpiesznie:

— Czuję się w obowiązku przeprosić panią. Byłbym chciał dawniej móż wypowiedzieć jak mi było przykro, że taka pomyłka zaszła. Zbyt lekkomyślnie posądzono panią o błąd... Ale stało się, chciałem tylko powiedzieć, że dziś wszyscy u nas wiedzą, jak pani kochasz swych braci.

Mówił dalej w ten sposób i to z grzecznością do jakiej sklepowe z Magazynu Nowości nie były przyzwyczajone z jego strony. Pomieszanie Dyonizy wzmagało się, ale radość opanowała jej serce. „A zatem on wie, że się nie oddała nikomu!” Oboje milczeli—Mouret szedł ciągle przy jej boku, stosując kroki do dziecka. Dalekie odgłosy Paryża zamierały pod cieniami wysokich drzew.

— Jedno tylko zadośćuczynienie mogę pani zaproponować, mówił dalej, naturalnie jeżeli zechcesz powrócić do nas...

Przerwała mu, odmawiając z gorączkowym pośpiechem.

— Nie mogę, dziękuję panu... znalazłam miejsce gdzieindziej.

Wiedział o tem, powiedziano mu bowiem już dawno, że jest u Robineau. Spokojnie, mile, jakby z równą sobie, zaczął mówić o Robineau, oddając mu sprawiedliwość:

— Jest to człowiek inteligentny — rzekł — tylko zbyt nerwowy. Grozi mu katastrofa bo Gaujean obarczył go interesem, od którego obaj padną.

Dyoniza pociągnięta poufną rozmową, zaczęła się szerzej wypowiadać i przyznała, że trzyma stronę wielkich zakładów przeciwko małym. Ożywiła się, stawiała przykłady, jako osoba obeznana z kwestyą, objawiała nawet idee szerokie i nowe. Mouret zachwycony, słuchał ze zdumieniem i obracał głowę, siłąc się zobaczyć jej twarz wśród wzrastającej ciemności. Zdawała mu się zawsze tą samą: suknia jej była prosta, twarz z dawnym łagodnym wyrazem; ale od tej skromnej i cichej postaci wiała woń, która przenikała go do głębi. Ta mała pewno się przejęła już powietrzem Paryża, wyrobiła się na kobietę i wywiera silne wrażenie z tym swoim rozsądkiem

i pięknymi włosami z których wionie tkliwość—
myślał.

— Kiedy pani należysz do naszego obozu —
odrzekł z uśmiechem— dla czego pozostajesz u na-
szych nieprzyjaciół? Mówiono mi, że mieszkasz
u tego Bourrasa.

— To bardzo zacny człowiek — szepnęła.

— Dajże pani pokój. Stary maniak, waryat,
który mię zmusi do tego, abym go wyrzucił na
barłóg, kiedy chciałbym go usunąć ze swej drogi
z majątkiem. To nie jest właściwe miejsce dla
pani; jego dom używa złej sławy; on wynajmuje
pokoje osobne...

Czując, że się Dyoniza znowu zmieszala, dodał
żywo:

— Można być wszędzie uczciwą, a zasługa
jeszcze większa, skoro się nie jest bogatą.

Znowu przeszli kilka kroków w milczeniu. Pé
pé zdawał się słuchać ze zwykłą swoją uważną
minką dziecka wczesnie rozwiniętego. Chwilami
podnosił oczy na siostrę, której ręka rozpalona
i drgająca, zadziwiała go.

— Czy pani chcesz być moją pośredniczką? —
wesoło zapytał Mouret. Miałem zamiar, jutro za-
proponować Bourrasowi ośmdziesiąt tysięcy fran-
ków. Pomów pani z nim pierwsza, powiedz mu
że się zabija. Może cię usłucha, kiedy się przy-
jaźnicie; oddasz mu tem wielką usługę.

— Dobrze! — odpowiedziała Dyoniza, także z uśmiechem, spełnię pańskie życzenie, ale wątpię, czy w zadawalniający sposób.

Znowu nastała cisza. Oboje nie mieli już nic do powiedzenia sobie. Przez chwilę próbował on mówić o stryju Baudu, ale musiał umilknąć, widząc jej zakłopotanie. Ciągłe idąc obok siebie doszli wreszcie przy ulicy Rivoli do alei gdzie, było jeszcze widno. Wyszędłszy z pomiędzy drzew, Mouret ocknął się niejako i zrozumiał, że jej nie może dłużej zatrzymywać.

— Dobranoc pani.

— Dobranoc panu.

Nie odchodził jednakże; spojrzawszy w górę, dostrzegł przed sobą na rogu ulicy Alger, oświetlone okna oczekującej go pani Desforges. Potem skierował wzrok ku Dyonizie, którą widział dobrze, pomimo zmroku. Bardzo była wątlą w porównaniu z Henryetą, dla czegoż tak mu rozplómieniała serce? Niedorzeczny kaprys!

— To dziecko męczy się — rzekł — żeby jeszcze coś powiedzieć. Bądźże pani łaskawą pamiętać, że nasz dom, jest dla niej otwarty. Zapukaj tylko, a postaram się wynagrodzić cię, o ile tylko będzie w mojej mocy. Dobranoc pani!

— Dobranoc panu.

Skoro Mouret odszedł, wróciła pod kasztany do ciemności. Długo chodziła bez celu, pomiędzy ogromnymi pniami, z twarzą rozczarwioną i głową pełną pomieszanych idei. Pépé ciągle

uczepiony jej ręki, starał się nadążyć małemi nóżkami. Zapomniała o biednym malcu, aż wreszcie rzekł:

— Zaprędko idziesz, mateczko.

Wtedy usiadła na ławce i dziecko z wielkiego zmęczenia usnęło na jej kolanach. Trzymała je przyciśnięte do dziewiczej piersi, z wzrokiem zatopionym w ciemności. Gdy w godzinę potem zwolna wróciła na ulicę Michodière, miała znowu, zwykły spokojny wyraz twarzy rozsądnej dziewczyny.

Stary Bourras ujrzawszy ją zdala, zawołał:

— Tam do licha... stało się... ten łotr Mouret kupił mój dom!

Szalał ze złości; rozbijał się sam jeden po swym sklepie, z tak gwałtownymi ruchami, że zdawało się, iż szyby powybija.

— Ach, ten padalec, ta żmija. To ten owocarz pisze do mnie. A wiesz panna, za ile sprzedał mój dom? za sto pięćdziesiąt tysięcy franków; cztery razy drożej niż wart! To mi złodziej! Wyobraź sobie, że wziął za pozór moje upiększenia; tak, skorzystał z tego, że dom odświeżony. Pókiż oni będą żartować ze mnie?

Ta myśl że z jego malowania skorzystał owocarz, doprowadzała go do szału. Teraz Mouret stał się jego właścicielem; jemu będzie musiał płacić; u niego, u tego nienawistnego współzawodnika będzie odtąd mieszkał; myśl o tem do reszty o rozpacz go przyprawiała.

— Słyszałem ja, że wiercą mur. Teraz już są tu u siebie; to zupełnie jak gdybym u nich siedział!

Mówiąc to, uderzał w kontuar pięścią z taką siłą, że się sklep wstrząsał, a parasole podskakiwały w górę.

Dyoniza odurzona, nie mogła wtrącić ani słowa. Stała nieruchomo, czekając przesilenia. Nareszcie, skoro Bourras uspokoił się trochę, postanowiła spełnić zlecenie Moureta; wprawdzie stary zdawał się bardzo rezdrażniony; ale ten gniew, to położenie bez wyjścia w jakim się znalazł, mogły go zmusić do nagłej zgody.

— Właśnie spotkałam kogoś...—przemówiła— pewną osobę z Magazynu Nowości, bardzo świadomą rzeczy. Zdaje się, że jutro zaofiarują panu osmdziesiąt tysięcy franków.

Przerwał jej mowę, piorunującym głosem:

— Ośmdziesiąt tysięcy! ośmdziesiąt tysięcy! Nawet miliona nie przyjąłbyś teraz!

Chciała przemówić do jego rozsądku; ale podczas kiedy mu przedstawiała jego interes, otworzyły się drzwi od sklepu i cofnęła się nagle, milcząca i blada. Był to stryj Baudu, ze swą złotą twarzą, postarzały. Bourras pochwycił sąsiada za guziki od paltota i podniecony jego widokiem, niedając mu przemówić, krzyknął w samą twarz:

— Wiesz pan, co mi śmia proponować? Ośmdziesiąt tysięcy franków. Do tego dochodzą ci zbójcy. Myślą, że się sprzedam jak dziewczycy-

na! Kupili dom, więc im się zdaje, że i mnie już nają! Skończona rzecz, nie dostaną go. Byłbym może ustąpił, ale kiedy już do nich należy, niechaj go spróbują wziąć!

— Więc to prawda? — odezwał się Baudu flegmatycznie. Zapewnił mię ktoś o tem, więc przyszedłem się dowiedzieć.

— Ośmdziesiąt tysięcy franków! — powtarzał Bourras. Dla czego nie sto tysięcy? Co mnie oburza, to właśnie ta suma. Czy myślą, że dla ich pieniędzy popełniłbym niegodziwość? Nie dotkną go, klę się na Boga.

Dyoniza odezwała się swym spokojnym głosem:

— Dostaną go za dziewięć lat; jak kontrakt pański się skończy.

Pomimo obecności stryja, zaczęła potem zażliwać starca, żeby przyjął propozycję. Przekonywała go, że się walka stała niemożliwą, że się mierzy z siłą wyższą, że byłoby szaleństwem, gdyby nie przyjął fortuny, która mu w rękę wpada. Ale on ciągle przeczył głową. Za dziewięć lat spodziewał się już nie żyć i na to nie patrzeć; podnosząc pięści ku niebu przysięgał, że się to nigdy nie stanie za jego życia.

— Słyszysz, panie Baudu? — mówił — synowica pańska stoi po ich stronie. Jej zlecili, żeby przełamała mój upór. Z tymi zbójcami trzyma, daję słowo honoru.

Do tej chwili zdawało się, że stryj nie widzi Dyonizy. Podniósł głowę z miną gniewną, jaką przybierał, za każdą razą jak przechodziła. Ale z wolna obrócił się i spojrzał na nią: grube jego wargi zadrgały.

— Wiem, — odrzekł półgłosem i przyglądał jej się dalej.

Dyoniza wzruszona była do łez wielką zmianą, jaką w nim sprawiły zmartwienia. On zaś może myślał o nędzy jaką przeszła, z cichym wyrzutem sumienia, że jej nie wsparł pomocą. Potem widocznie rozrzewnił go Pépé śpiący na krześle pomimo krzykliwej rozmowy.

— Dyonizo! — rzekł z prostotą — przyjdź jutro z malcem na obiad. Żona moja i Genowefa prosiły, żebym cię zwabił, jeżeli się spotkamy.

Zarumieniała się mocno i uściskała go. Skoro wyszedł, Bourras uradowany pojednaniem wołał za nim:

— Popraw ją, w niej dużo zachości! Co do mnie, może się dom zawalić, znajdą mnie pod gruzami.

— Nasze domy już się walą, sąsiedzie! — odrzekł Baudu posępnie. — Wszysoy padniemy ofiarą.

ROZDZIAŁ IV.

Jednakże cała dzielnica mówiła o mającej odkryć się nowej wielkiej ulicy od Giełdy do nowej Opery, pod nazwaniem ulicy Dziesiątego Grudnia. Sądy o wywłaszczeniu były już zamknięte i dwie kompanie rozbijaczy, z dwóch końców rozpoczęły dzieło przebicia ulicy, jedna z nich waliła stare domy przy ulicy Louis-le Grand, druga obalała cienkie mury dawnego teatru Vaudeville; słychać było uderzenia oskardów w bliskości ulic Choiseul i Michodière; właściciele rozpaczali o swe domy skazane na zagładę. Przed upływem dwóch tygodni, miały być one przecięte przestrzenią pełną ruchu i słońca.

Ale co jeszcze bardziej interesowało dzielnicę, to roboty przedsięwzięte przez Magazyn Nowości. Mówiono o znacznem powiększeniu, o magazynach olbrzymich z trzema fasadami od ulic: Michodière, Neuve-Saint-Augustin i Monsigny. Słychać było, że Mouret wszedł w układy z baronem Hartmannem, prezesem kredytu Nieruchomego i zajmuje cały szereg domów; wzbronionem

mu tylko zostało odkrycie fasady od ulicy Dzie-
siątego Grudnia, gdzie baron chce wznieść hotel,
współzawodniczący z Grand-Hôtelem. Wszędzie
Magazyn Mód odkupował dzierżawy, sklepy się
zamykały, lokatorowie przeprowadzali się, a w pu-
stych domostwach całe legiony robotników za-
czynały przeróbki w obłokach pyłu z wapna i ce-
gły. Pośród ogólnych przekształceń, tylko ciasny
domek starego Bourrasa, pozostawał nietknięty,
uparcie czepiając się wysokich murów, na których
pełno było murarzy.

Gdy nazajutrz Dyoniza udała się z Pépé do
stryja Baudu, ulica była właśnie zagrodzona sze-
regiem wozów, wyładowujących cegłę przed da-
wnym hotelem Duvillarda. Stryj przyglądał się
temu z miną posępną, stojąc na progu swego skle-
pu. W miarę jak się Magazyn rozszerzał, zdawa-
ło mu się, że się Vieil Elbeuf zacieśnia. Dyon-
izie szyby wydały się jeszcze czarniejsze i bardziej
zmażdżone pod niską antresolą z okrągłemi, jak-
by więziennemi okienkami. Skutkiem wilgoi
dawny zielony szyld, jeszcze bardziej zatarł się;
cała fasada wyglądała jakby osiwiiała i wychu-
dzona.

— Jesteś — rzekł Baudu — ostrożnie, przeja-
dą cię...

W sklepie tak samo ścisnęło się jej serce. Był
on jeszcze ciemniejszy i bardziej martwy, skut-
kiem zupełnego upadku handlu. Puste kąty,
tworzyły czarne plamy, na kontuarach, pułkach

zaległ kurz, od postawów sukna wcale już nie-trzepanych, rozchodziła się piwniczna woń saletry. Przy kasie pani Baudu i Genowefa siedziały milczące i nieruchome, jakby w kącie, gdzie nikt nie przerwie im samotności. Matka obrębiała ścierki a córka z rękami opuszczonemi na kolana, patrzyła w próżnię.

— Dobry wieczór stryjence — rzekła Dyoniza. Miło mi widzieć stryjenkę i przepraszam jeżeli w czem zawiniłam.

Pani Baudu pocałowała ją z wielkiem wzruszeniem i rzekła:

— Moje biedne dziecko, widziałabyś mnie weselszą, gdybym nie miała innych przykrości.

— Dobry wieczór, kuzynko; — odezwała się znowu Dyoniza pierwsza, całując Genowefę w policzki.

Ta drgnęła, jakby zbudzona ze snu i odplaciła jej się pocałunkiem, nie mówiąc jednak ani słowa. Obie te kobiety wzięły potem Pépé, wyciągającego do nich rączki i nastąpiło zupełne pojednanie.

— Już szósta, siadajmy do stołu — powiedział Baudu.— Dlaczego nie przyprowadziłaś Jana?

— Miał przyjść — odrzekła z cicha Dyoniza z wielkiem zakłopotaniem. Widziałam się z nim właśnie dziś rano i obiecał na pewno, że przyjdzie; ale czekać nie trzeba, musiał go majster zatrzymać.

Domyślając się jakiej nadzwyczajnej przygody, chciała go z góry uniewinnić.

— A więc siadajmy do stołu—powtórzył stryj.

Poczem zwróciwszy się do ciemnego kąta w sklepie, dodał.

— Colomban, możesz jeść razem z nami, nikt nie przyjdzie.

Dyoniza nie spostrzegła dotąd subiekta. Stryjenka tłómaczyła jej, że musieli drugiego oddalić wraz ze sklepową. Interesa tak źle szły, że Colomban wystarczał, a nawet godzinami stał bez zajęcia, ociężały i drzemiący z otwartymi oczami.

W jadalni palił się gaz, chociaż to było wśród długich, letnich dni. Dyonizę dreszcz przeszedł gdy tam weszła, taki chłód wydzielał się z murów. Ujrzała ten sam okrągły stół, nakryty ceratą, to samo okno, czerpiące światło i powietrze z głębi cuchnącego podwórka. Wszystko to zarówno jak sklep, wydawało jej się jeszcze ciaśniejsze, jakby załzawione.

— Ojcie—rzekła Genowefa, wstydząc się Dyonizy — czy można zamknąć okno? Ztamtąd nie pachnie.

Nic sam nie czując, zadziwił się.

— Zamknij, jeżeli ci to sprawi przyjemność — odparł nareszcie — tylko że nie będziemy mieli powietrza.

Rzeczywiście, dusili się. Obiad był gospodarski, bardzo skromny. Po rosole, jak tylko służąca podała sztukę mięsa, stryj uczeplił się po

swojemu, ludzi z przeciwka. Z początku okazał się bardzo tolerancyjnym i pozwalał synowicy mieć odmienne zdanie.

— Wolno ci przecież brać stronę tych olbrzymich składów; każdy ma swój sposób zapatrywania się moje dziecko... Kiedy się tem nie obraziłaś, że cię tak grubiańsko wyrzucono za drzwi, musisz mieć ważne powody, żeby ich lubić i nawet gdybyś tam powróciła, nie miałbym ci za złe... Prawda, że nikt z pomiędzy nas nie miałby o to żalu?

— O nie—szepnęła pani Baudu.

Dyoniza wypowiedziała otwarcie swoje argumenta, tak samo jak u Robineau: logiczny rozwój handlu, potrzeby tegoczesne, wielkość nowych kreacyj, nareszcie wzrastający dobrobyt publiczności. Baudu ze swemi okrągłemi oczkami i grubemi wargami, słuchał jej z widocznem natężeniem umysłu. Gdy umilkła, wstrząsnął głową i rzekł:

— To są fantasmagorye. Handel jest handlem i nie może być niczem innym. Muszę tylko przyznać, że mają powodzenie. Długi czas myślałem, że skręca karki; tak, czekałem tego, wyglądałem, pamiętasz? Ale nie, zdaje się, że dziś złodzieje robią fortuny, podczas gdy poczciwi ludzie, umierają na barłogu. Oto do czegośmy doszli; jestem zmuszony uchylić czoło przed faktami i uchylam, tak... uchylam!

Powoli wzniecała się w nim tajona złość i naraz zaczął wywijać widelcem.

— Ale stać będę z głową do góry, aż do ostatniego technienia! Vieil Elbeuf nigdy nie zrobi ustępstwa! Może się ze starości zawalić, będę miał wtedy przyjemność pozostawić w niemłkości swoje... Słuchaj, com powiedział Bourrasowi: „Sąsiedzie, godzisz się z szarlatanami, twoje malowanki wstyd ci przyniosą!”

— Jedz-że! — przerwała pani Baudu, zaniepokojona, że się tak zapala.

— Czekaj; chcę żeby moja synowica wiedziała jaką mam dewizę, słuchaj moja córko: ja jestem jak ta karafka, nie ruszam się. Wiedzie się im — tem gorzej dla nich! Ja protestuję i więcej nie!

Służąca podała pieczoną cielęcinę, którą drżącymi rękami pokrajał; widać było, że stracił już wprawę w sprawiedliwym rozdzielaniu porcyj. Poczucie swego upadku pozbawiło go dawnej powagi szanownego pryncypała. Pozostawała mu, jak sam przyznawał, jedyna tylko siła: wytrwałość w przekonaniach, siła w oczekiwaniu upadku swego domu, nie robiąc kroku w prawo ani w lewo, dla uniknięcia tego co musiało mu spaść na głowę. Pépé myślał, że się dziaduś gnięwa; trzeba go było uspokoić, dając mu natychmiast wety, to jest biszkopciki, przed nim stojące. — Wówczas dziaduś zniżył głos i starał się mówić o czem innem. Jakiś czas, rozprawał o zwaleniu domów, pochwalał ulicę Dziesiątego Grudnia,

której przebicie przyczynić się musi do zwiększenia handlowego ruchu w dzielnicy. Lecz przy tej sposobności powrócił znów do Magazynu Nowości, wszystko ciągnęło go tam; był to obłęd chorobliwy.

— Zasypani jesteśmy pyłem wapiennym — mówił — nic nie sprzedajemy, odkąd wozy z materyałem budowlanym zagradzają ulicę, zresztą te olbrzymie magazyny staną się śmieszne, klientki będą w nich ginęły. Dlaczego lepiej nie rozsiąść się w hallach...

Pomimo błagalnych wejrzeń żony, pomimo własnych wysileń, przeszedł od robót do dochodów magazynu.

— To rzecz nie do uwierzenia, ażeby w ciągu czterech lat, w pięćkroć pomnożyć wkładowy kapitał! Ich tegoroczny bilans wykazujący ośm milionów, doszedł do czterdziestu, według ostatniego inwentarza. Słowem to szal, rzecz nigdy jeszcze niewidziana i z którą nie można już walczyć. Coraz więcej ich przybywa, obecnie personel składa się z dwóch tysięcy ludzi i ogłosili dwadzieścia ośm oddziałów!

Ta ostatnia liczba zwłaszcza, odbierała mu przytomność. Musieli niektóre oddziały rozdrobnić, lecz są też i zupełnie nowe; oddział mebli i oddział artykułów paryzkich?

— Jestże to rzecz do pojęcia: artykuły paryskie? Bez żartu, ci ludzie nie są wcale dumni, gotowi ryby sprzedawać.

Stryj udając że szanuje przekonania Dyonizy, jednakże starał się ją do swoich nakłonić:

— Ty ich nie możesz bronić na seryo. Cóżbyś powiedziała, gdybym obok sukna sprzedawał rondle? Miałabyś mnie za waryata... Przyznaj przynajmniej, że ich nie szanujesz.

Ponieważ uśmiechała się tylko z niejakim zakłopotaniem, wiedząc że rozsądne dowodzenia na nic się nie zdadzą, ciągnął dalej:

— Widzę że z nimi trzymasz, nie mówmy więc o tem, bo nie chciałbym żeby nas znowu poróżnili. Jużby tego zawiele było, żeby stawali pomiędzy mną a rodziną moją. Wracaj do nich, jeżeli masz ochotę, ale cię proszę żebyś mi nie wracała głowy historjami o nich!

Zapanowało milczenie. Jego dawna gwałtowność słabła wobec tej gorączkowej rezygnacji. Ponieważ się dusili w ciasnej salce ogrzanej gazem, służąca zmuszoną była otworzyć znów okno, a cuchnąca wilgoć podwórza, wionęła zaraz na stół. Zjawiły się pieczone kartofle, które spożywano w milczeniu.

— Patrz na tych dwoje — rzekł Baudu, wskazując nożem na Colombana i Genowefę — zapytaj ich, czy kochają twój *Bonheur des Dames*?

Siedząc obok siebie na zwykłym miejscu, gdzie się znajdowali dwa razy dziennie od dwunastu lat, Colomban i Genowefa jedli, zachowując umiarkowanie. Nieodezwali się ani razu: on, przesadzając dobroduszny wyraz twarzy, zdawał się kryć

pod spuszczone mi powiekami, pożerający go ogień wewnętrzny; ona zaś bledsza niż dawniej, z głową jeszcze więcej schyloną pod zbyt ciężkimi włosami, siedziała cicho, jakby nurtowana tajonem cierpieniem.

— Ostatni rok był pełen klęsk — przekładał stryj. — Trzeba było odłożyć ślub... Wcale nie dla przyjemności, zapytaj ich co myślą o twoich przyjacielach?

Dyoniza ażeby zadowolnić stryja, zapytała o to młodą parę:

— Co do mnie, kochać ich nie mogę, kuzynko, ale bądź spokojna, nie wszyscy ich nienawidzą;— odpowiedziała Genowefa, spoglądając na Colombana, kręcącego gałki z chleba z zamyśloną miną.

Uczuwszy jej wzrok ku sobie zwrócony, zaczął się odzywać w gwałtownych wyrazach:

— Obrzydła buda, same w niej łotry... jedni gorsi od drugich... Zaraza dla całej dzielnicy.

— Słyszysz go? słyszysz! — krzyczał Baudu w zachwyceniu. Co jego, to nigdy nie zwabią!... Tyś ostatni, takich już nie będzie.

Ale Genowefa z twarzą surową i zboląłą, nie spuszczała z oka Colombana; przenikała go aż do głębi serca, on zaś mięszał się i podwajał obelgi. Pani Baudu siedząc naprzeciw nich wpatrywała się z niepokojem, jakby odgadując z tej strony nieszczęście. Od niejakiego czasu bladość córki przerażała ją; widziała, że umiera.

— Sklep pozostał bez dozoru, przemówiła nakoniec wstając od stołu, aby przerwać tę scenę. Zobacz Colombanie, zdaje mi się, że ktoś wszedł.

Skończywszy obiad, wstano od stołu; Baudu i Colomban poszli rozmówić się ze stręczycielem, który zgłosił się po zamówienia. Pani Baudu, wyprowadziła Pépé, żeby mu pokazać obrazki. Sługa prędko sprzątnęła ze stołu, a Dyoniza stojąc przy oknie, przyglądała się podwórzu. Odwróciwszy się spostrzegła Genowefę siedzącą ciągle na jednym miejscu, z oczami wlepionymi w czeratę, mokrą jeszcze po obmyciu gąbką.

— Czyś ty chora, kuzynko? — zapytała.

Młoda dziewczyna milczała, wpatrując się uporczywie w skazę na ceracie, jakby pochłonięta jeszcze myślami, co się jej po umyśle snuły. Z wysileniem podniosła głowę i spojrzała na pełną współczucia twarz ku niej pochyloną.

— Więc tamci już odeszli. Cóż ja robię jeszcze na tem krześle?

Nagle łkania zaczęły ją dławić i głowa opadła na krawędź stołu. Płakała, zalewając łzami rękaw od sukni.

— Mój Boże! co ci jest? — wykrzyknęła Dyoniza zaniepokojona. Czy chcesz, żebym kogo przywołała?

Genowefa schwyciwszy ją nerwowo za rękę, trzymała się jej jękając:

— Nie, nie, zostań... Nie chcę, żeby mama wiedziała. Co do ciebie, wszystko mi jedno, ale by-

leby nie oni, nie oni! Przysięgam ci, że to było mimowolne... skorom się ujrzała sama. Zaczekaj, już mi lepiej... już nie płaczę.

Lecz paroksyzm rozpoczął się na nowo; wątłem ciałem wstrząsały dreszcze. Zdawało się iż ta masa czarnych włosów przygniata jej kark. Zbołała jej głowa ciągle się miotła na splecionych rękach; wypadła szpilka z włosów i rozsypały się po szyi i plecach, kryjąc ją pod swą ciemną obsłoną. Jednakże Dyoniza po cichu aby nie zwrócić niczyjej uwagi, starała się jej ulżyć: odpiąwszy suknię, przestraszyła się jej chorobliwą chudością. Biedna dziewczyna miała pierś wklęsłą jak dziecko; płaska była jak dziewczyna wyniszczona anemią. Dyoniza ujęła pełną dłonią pyszne włosy, które zdawały się wysysać z niej życie; potem związała je mocno, ułożyła na głowie tak żeby nie ciążyły i żeby mniej chorobliwie wyglądała.

— Dziękuję ci, tyś dobra; — rzekła Genowefa. Prawda, zem wcale nie tłusta? Byłam tęższą, ale teraz widzisz co się ze mną stało. Zapnij mi suknię, mama gotowa zobaczyć ramiona, a ja chowam je przed nią o ile mogę. Mój Boże! źle ze mną, bardzo źle...

Powtarzała te słowa zrezygnowanym głosem, czując zupełne wyczerpanie sił. Paroksyzm jednakże przechodził, łkania już jej nie dławily. Siedziała jakby złamana patrząc wytężonym

wzrokiem na kuzynkę. Po krótkim milczeniu, zapytała nagle :

— Powiedz mi prawdę... czy on ją kocha?

Dyoniza czuła że się oblewa rumieńcem. Zrozumiała doskonale że mówi o Colombanie, lecz udając zdziwienie, zapytała :

— Kto taki, moja droga?

Genowefa kiwała głową z niedowierzaniem.

— Nie kłam, proszę cię; oddaj mi tę przysługę. Ty musisz wiedzieć, czuję że wiesz, a ja chcę mieć pewność. Byłaś koleżanką tej kobiety, widziałam jak cię Colomban gonił i mówił z tobą po cichu. Dawał ci dla niej jakieś polecenia, wszak prawda? O! błagam cię, powiedz prawdę; przysięgam ci, że mi to wyjdzie na dobre.

Dyoniza nigdy jeszcze nie doznała podobnego kłopotu. Spuszczała oczy przed tem dzieckiem, zawsze niemem, lecz wszystko odgadującym. Lecz zdobyła się na tę siłę, by ją łudzić jeszcze.

— Ależ on ciebie kocha!

Wówczas Genowefa uczyniła rozpaczliwy ruch.

— Nie chcesz mi powiedzieć — rzekła. Zresztą wszystko mi jedno. Widziałam jak wymyka się ciągle na chodnik, żeby na nią patrzeć, ona zaś na górze, śmieje się jak szalona... Pewno spotykają się gdzieś później.

— Co to, to nie, przysięgam ci; — wykrzyknęła zapominając się Dyoniza, byleby choć tej pociechy udzielić stroskanej dziewczynie.

Genowefa mocno odetchnęła i słaby uśmiech przebiegł po jej ustach. Potem osłabionym głosem rekonwalescentki rzekła:

— Prosiłabym cię o szklankę wody. Przepraszam że cię trudzę. . tam w kredensie.

Porwawszy za karafkę, wypila jednym tchem dużą szklankę wody, odsuwając rękę Dyonizy, chcąc ją powstrzymać, z obawy aby jej to nie zaszkodziło.

— Daj pokój, ja mam ciągle pragnienie. W nocy wstaję ażeby się napić.

Po chwilowem milczeniu, znowu zaczęła mówić zwolna:

— Od lat dziesięciu, przywykłam do myśli o tem zamążpójściu. Nosilam jeszcze krótkie sukienki, kiedy Colomban był mi już przeznaczonym. Nie pamiętam więc, jak to się stało. Obcując z nim ciągle, w tem zamknięciu, zawsze jedno obok drugiego, bez żadnej zmiany, widziałam w nim swego męża przed czasem. Czy go kocham, tego nie wiedziałam, byłam jego żoną i koniec na tem. A dziś on chce odejść z inną. O, mój Boże! serce mi pęka. To jest cierpienie jakiego przed tem nie znałam. Ogarnia mi pierś, głowę, rozchodzi się po mnie całe, zabija mnie.

Łzy zapełniły znowu jej oczy. Dyoniza czując również wilgotne od spółczucia powieki, zapytała:

— Czy ciotka domyśla się czego?

— Domyśla się... tak mi się zdaje przynajmniej. Co się tycze ojca, to zaudto się dręczy

i nie wie jaką mi zadaje boleść ciągłym odkładaniem ślubu. Mama kilka razy starała się mię zbadać; niepokoi się bardzo, widząc mnie cierpiącą. Sama nigdy nie była dość silną, więc często mówi: „Biedne moje dziecko, nie dałam ci wiele siły”. Zresztą w tym sklepie nic się nie rozwija. Ale musi widzieć, że chudnę zbyt szybko. Patrz na moje ręce... do czego podobne...

Drżącą ręką wzięła znów karafkę. Kuzynka chciała ją powstrzymać.

— Daj pokój, strasznie mi się chce pić.

Rozległ się podniesiony głos starego Baudu. Wtedy idąc za popędem serca, Dyoniza uklękła i objęła Genowefę, siostrzanym uściskiem. Całowała ją zapominając, że wszystko będzie dobrze, że zaślubi Colombana, że wyzdrowieje i będzie szczęśliwą. Naraz zerwała się, bo ją stryj zawołał.

— Przyszedł Jan, chodźże.

Rzeczywiście był to Jan, widocznie zmieszany; przyszedł on na obiad; gdy mu powiedziano, że już po ósmej, zdziwił się mocno.

— To nie może być, idę wprost od pryncypała.

Ktoś zauważył, że może nadłożył drogi idąc przez las Vincennes. Jan tylko zdołał zbliżyć się do siostry i szepnął:

— Była to praczka, odnosząca bieliznę. Mam tu powóz, najęty na godziny. Daj mi sto sous.

Wyszedł na chwilę i powrócił na obiad; pani Baudu nie chciała go bowiem wypuścić o głodzie

i nalegała żeby zjadł choć rosół. Zjawiała się Genowefa milcząca, cicha jak zwykle. Colomban drzemał za kontuarem. Wieczór upływał smutno i powoli; ciszę przerywało stąpanie stryja, przechadzającego się z kąta w kąt, w pustym sklepie. Palił się tylko jeden płomień gazowy. Niski sufit, rozpościerał szerokie płyty cieniu, jakby czarnej ziemi, wyrzucanej z głębokiego dołu.

Miesiące upływały: Dyoniza codzien prawie wstępowała, by rozerwać Genowefę; lecz smutek wzrastał w rodzinie Baudu. Roboty z przeciwka były dla niej ciąglem udręczeniem, gdyż przyspieszały ruinę. Nawet chwilowa nadzieja lub niespodziewana radość nikły, na odgłos wozu z cegłą lub wołania mularzy. Cała dzielnica była tem zresztą wstrząsana. Wśród zagrody z desek, zajmującej trzy ulice, kipiał duch gorączkowy. Pomimo że budowniczy użytkował istniejące budowle, jednakże przebijał je ze wszech stron i pośród uczynionego miejsca w podwórzu, wznosił centralną galeryę, rozległą jak kościół, której główna brama, miała wychodzić na ulicę Neuve-Saint-Augustin, w samym środku fasady. Z początku były wielkie trudności z przeprowadzeniem suterenu, natrafiono bowiem na przepływ kanałów i pokłady ziemi pełnej kości ludzkich. Następnie domy sąsiednie gwałtownie się zainteresowały wierceniem studni, głębokiej na sto metrów, a mającej dostarczać pięćset litrów wody na minutę. Obecnie mury były wzniesione do wyso-

kości pierwszego piętra; sztandary, rusztowania, wieże z desek, zamykały całą wyspę; bez przerwy słyszano skrzyp wind, podnoszących ciosane kamienie, hałaśliwe rzucanie żelaznych podłóg, gwar całej ludności robotników, któremu towarzyszyły uderzenia oskardów i młotów. Lecz co najbardziej wszystkich odurzało, to ruch maszyn; wszystko się odbywało za pomocą pary; przeraźliwe gwizdanie rozdzierało powietrze; a za najmniejszym powiewem wiatru, wznosiły się obłoki wapiennego kurzu, pokrywające jakby śniegiem sąsiednie dachy. Zrozpaczeni Baudu patrzyli na ten nieunikniony pył przenikający wszędzie, przez okiennice najszczelniej zamknięte, osiadający na towarach w sklepie, wciskający się nawet do ich łóżek; a ta myśl, iż bądź co bądź muszą nim oddychać i że on w końcu ich śmierć spowoduje, zatruwała im życie.

Zresztą, położenie ich miało się jeszcze pogorszyć. We wrześniu, budowniczcy, obawiając się iż nie zdąży z robotą, postanowili aby pracowano w nocy. Ustawiono ogromne lampy elektryczne; ruch już nigdy nie ustawał; roboty postępowały, młoty nie milkły, maszyny ciągle gwizdały; panujący tam zgilek zdawał się podnosić i rozsiewać wapno. Wówczas to biedni Baudu musieli wyrzec się nawet snu; wstrząsani byli w swej alkowie, odgłosy te stawały się dręczącą męką, jak tylko zasypiali ze znużenia. Gdy wstali bosą nogą uspokoić gorączkę i podnieśli frankę, przestra-

szeni byli widokiem Magazynu Nowości, buchającego wśród ciemności płomieniem, jak olbrzymia kuźnia, w której wykuwała się ich ruina. Pośród nawpół wzniesionych murów przebitych otworami, lampy elektryczne, rzucały szerokie niebieskie promienie olśniewającej jasności. Biła godzina druga, trzecia, potem czwarta, wśród zakłóconego snu dzielnicy, a warsztat powiększony niejako tem księżycowym światłem, stawał się kolosalnym i fantastycznym, roił się czarnymi cieniami gwarzących robotników, których profile drgały na świeżej białości tynków.

Słusznie powiedział stryj Baudu, że dla drobnego handlu sąsiednich ulic, będzie to wielkim ciosem. Każde zaprowadzenie w Magazynie Nowości nowego oddziału towarów, było hasłem bankructwa okolicznych kupców. Klęska się rozszerzała; upadały najstarsze składy. Panna Tatin, bielizniarka z ulicy Choiseul, ogłosiła upadłość; Quinette, rękawiczniczka, posiadała środki wystarczające zaledwo na pół roku; jeżeli jeszcze pończosznicy Bèdoré i siostra, trzymali się na ulicy Gaillon, widocznie było, iż dojadają resztki dawniejszych oszczędności. Obecnie, nowe upadłości były spodziewane; otwarcie oddziału artykułów paryzkich, zachwiało sklep galanteryjny z ulicy Ś go Rocha, Deslignières, grubego sangwiniaka. Jednocześnie oddział mebli dotknął Piot i Rivoire, których składy drzemały w pasażu Świętej Anny. Obawiano się apopleksyi kupca

towarów galanteryjnych, bo szalał ze złości, widząc, iż Magazyn Nowości ogłosił portmonetki tańsze o trzydzieści procent. Meblarze udawali, iż żartują z perkalików, chcących sprzedawać stoły i szafy; ale klientki ich opuszczały, a powodzenie oddziału mebli mocno się dawało odczuć. Nie było rady, musieli uchylić głowy. Można się było spodziewać, że wszystkie sklepy będą wyrugowane i pewnego poranku *Bonheur des Dames*, pokryje swym dachem całą dzielnicę.

Obecnie, rano i wieczór, kiedy personel Magazynu złożony z tysiąca osób, wchodził i wychodził, był to tak długi szereg, jakby defilada pułku. Przez dziesięć minut chodniki były zajęte; a kupcy stali na progach sklepów, myśląc o jednym swym subieckie, którego nie mieli czym żywić. Ostatni inwentarz Magazynu Nowości, wykazujący kapitału obrotowego czterdzieści milionów, sprawił popłoch w całej okolicy. Cyfra ta przechodziła z domu do domu, pośród okrzyków zdziwienia i gniewu. Czterdzieści milionów! — nie do uwierzenia? Zapewne czysty zysk wynosił 4^o/_o przy ich ogromnych rozchodach i systemie taniości; lecz milion sześćkroć sto tysięcy franków zysku, zawsze to ponętna suma; można poprzestać na 4^o/_o, skoro się obraca podobnemi kapitałami. Opowiadano, że dawny kapitał Moureta, pierwsze pięćkroć sto tysięcy, zwiększony co rok sumą zysków i który obecnie miał wynosić cztery miliony, zużytkowany był dziesięć razy na towary

w kantorach. Gdy się Robineau zapuszczał po obiedzie w te rachunki wobec Dyonizy, pozostał chwilę przytłoczony, z oczami wlepionymi w pusty talerz: przyznawał jej słusność, że właśnie to ciągle wznawianie kapitału, stanowi niewzruszoną potęgę nowego handlu. Jeden tylko Bourras nie chciał uznawać faktów, nierozumiejąco ich; tem pewniejszy siebie, że pozostawał w ciemnościach. Mówił tylko, że to szajka złodziei i nic więcej. Łgarze, szarlatani, którzy się ujrzą pewnego ranka w rynsztoku!

Łaństwo Baudu, pomimo postanowienia, że nic nie zmienia w Vieil Elbeuf, starali się dotrzymać kroku konkurencyi. Ponieważ klientela nie przychodziła do nich, próbowali ją przyciągać za pomocą stręczycieli. Jeden z tych ostatnich mający stosunki ze wszystkimi wiadomymi krawcami, zwykle ratował małe handle sukna i flaneli skoro się podjął ich interesu. Rozumie się, iż go rozrywano, stawał się ważną osobą; Baudu umówiwszy się z nim, na swoje nieszczęście spostrzegł, że on wszedł w układy z Matignon z ulicy Croix des-Petits-Champs. Potem dwóch stręczycieli okradło go; trzeci zaś poczciwym był człowiekiem, ale na nic się nie zdał. Była to powolna śmierć, bez wstrząśnień, konanie interesu. Klientki opuszczały go, jedna po drugiej. Nadszedł dzień, w którym trudno było uiszczać wypłaty. Dotąd żyli z dawniejszych oszczędności, teraz musieli się już zadłużać. W grudniu Baudu,

przestraszony liczbą swych weksli, zdecydował się na największą ofiarę: sprzedał wiejski dom w Rambouillet, którego wieczne naprawy tyle go kosztowały, w dodatku lokatorowie nie wypłacali mu się za komorne; więc postanowił go się pozbyć. Ta sprzedaż zabiła jedyne marzenie jego i serce mu się krwawiło, jak po stracie ukochanej osoby. Zmuszony był ustąpić go za siedemdziesiąt tysięcy franków, kiedy kosztował więcej niż dwakroć sto tysięcy. Miał to sobie jednak za szczęście, że państwo Lhomme, sąsiedzi jego zapragnęli rozszerzyć swą posiadłość. Te siedemdziesiąt tysięcy miały ich podtrzymać przez czas niejaki. Pomimo wszelkich klęsk, myśl o walce, znowu się w głowie jego zrodziła. Obecnie, przy oględności, może się uda zwyciężyć — myślał.

W ową niedzielę, kiedy państwo Lhomme, wypłacali pieniądze, przyjęli oni obiad w Vieil Elbeuf. Pani Aurelia przyszła pierwsza, na kasyera zaś trzeba było czekać, spóźnił się bowiem zajęty będąc całe popołudnie muzyką; co się tyczy młodego Alberta, to chociaż otrzymał zaproszenie, wcale się nie zjawił. Był to strasznie uciążliwy wieczór. Państwu Baudu, żyjącym bez powietrza, w głębi ciasnej jadalnej salki, wielką przykrość sprawiało towarzystwo rodziny prowadzącej życie rozproszone i swobodne. Genowefa upokorzona imperatorskiem obejściem się pani Aurelii, ust nie otworzyła; a Colomban zachwycał

się nią i dreszcze go przechodziły na myśl, że ona króluje nad Klarą.

Wieczorem, kiedy pani Baudu leżała już w łóżku, mąż przechadzał się długo po pokoju. Było dość ciepło i nastąpiła odwilż. Pomimo zamkniętych okien i spuszczonej rolety, dochodziło sapanie maszyny z przeciwka.

— Wiesz o czem myślę, Elzbieto?— odezwał się nakoniec. Chociaż ci Lhomme'owie zarabiają dużo pieniędzy, nie chciałbym być w ich skórze. Wiedzie się im, to prawda. Ona sama, jak powiada, w tym roku zarobiła około dwudziestu tysięcy franków, dlatego mogła mój biedny dom nabyć. Mniejsza o to! nie mam już wprawdzie domu, ale za to nie chodzę w jedną stronę, a ty się nie szastasz w drugiej... Nie, oni nie muszą być szczęśliwi.

Ciągle jeszcze bolał nad swą wielką ofiarą i czuł złość do ludzi, którzy kupili marzenie jego. Zbliżył się do łóżka żony gestykulując, potem odszedłszy do okna, milczał chwilę, przysłuchiwał się hałasom warsztatowym i znowu wrócił do zarzutów i rozpaczliwych skarg na okropne czasy:

— Kto to widział, aby subiekci więcej zarabiali od kupców? Kasyerowie nabywają posiadłości swych pryncypałów! Dlatego wszystko upada i rodzina przestała istnieć, ludzie żyją po hotelach, zamiast uczciwie spożywać posiłek przy rodzinnem ognisku...

Zakończył przepowiednię, że młody Albert, przeje willę Rambouillet z aktorkami.

Pani Baudu, słuchała go z wyprostowaną głową na poduszce, blada jak płótno.

— Zapłacili ci?—zapytała nakoniec z cicha.

Zrazu Baudu oniemiał; przechadzał się przez kilka sekund z oczami w ziemię spuszczone, potem rzekł:

— Zapłacili, co prawda i pieniądze ich nie gorsze od innych. Byłoby zabawne, gdyby przy pomocy tej sumy można podźwignąć handel. Ach! żebym ja nie był tak stary i tak zmęczony...

Nastąpiło długie milczenie... Sukiennicy pochłaniali nieokreślone jakieś projekta. Nagle przemówiła żona, z oczami podniesionymi w sufit, nie poruszając głowy:

— Czy nie zauważyłeś zmiany w naszej córce, od niejakiego czasu?

— Nie — odpowiedział.

— Ona mię trochę niepokoi; blednie i zdaje się zrozpaczona.

Baudu stał przed łóżkiem, mocno zdziwiony.

— A to dlaczego?... Jeżeli jest chora, to powinna powiedzieć. Trzeba będzie wezwać jutro doktora.

Pani Baudu zostawała wciąż nieruchoma. Po długiej chwili, odezwała się z rozwągą.

— Zdaje mi się, że lepiej byłoby połączyć ją już z Colombanem.

Spojrzał na nią i zaczął znowu chodzić. Różne fakta przychodziły mu na pamięć. Czy to być może, aby córka jego chorowała z powodu tego subiekta? Miałażby go tak kochać, że dłużej już czekać nie może? Jeszcze jedno nieszczęście! Ostrzeżenie go to wzburzyło, zwłaszcza, że miał ułożony plan co do tego małżeństwa. Jednakże zmiękł pod wpływem niepokoju!

— Dobrze, rozmówię się z Colombanem.

Nie dodając ani słowa więcej, zaczął się znowu przechadzać. Wkrótce oczy żony zamknęły się i usnęła, blada jak trup. On chodził ciągle. Przed pójściem spać, podniósł raz jeszcze firankę i wyjrzał: po drugiej stronie ulicy, otwory od okien dawnego hotelu Duvillarda wychodziły na warsztat, gdzie się poruszali robotnicy, przy świetle lamp elektrycznych.

Nazajutrz rano Baudu zaprowadził Colombana w głąb ciemnego składu w antresoli, a w wigilię już ułożył sobie, co mu powie.

— Wiesz pewno, mój chłopcze, zem sprzedał moją posiadłość w Rambouillet; to nam dopomoże do interesu. Lecz przedewszystkiem chciałbym się z tobą rozmówić...

Młodzieniec zdawał się obawiać tej rozmowy, oczekiwał jej z nietęgą miną. Małe oczki tkwiące w szerokiej twarzy mrużył i usta miał otwarte, co było u niego oznaką silnego pomieszania.

— Słuchaj mnie uważnie — powiedział sukienik. — Gdy ojciec Hauchecorne, ustąpił mi Vieil

Elbeuf, interesa tego domu były w kwitjącym stanie... Znasz mój sposób myślenia: zdawałoby mi się, że się dopuszczam winy, gdybym oddał moim dzieciom ten depozyt familijny w upadku. Dlatego odkładałem ciągle twój ślub z Genowefą. Możem się łudzić, spodziewając się wrócić do dawnej świetności, chciałem ci przedstawić księgi, mówiąc: Patrz! oto rok, w którym wstąpiłem we władanie: sprzedano tyle sukna, a w tym roku kiedy się usuwam, utargowano dziesięć lub dwadzieścia tysięcy więcej...! Poprzysiągłem to sobie, w tej naturalnej chęci żeby dowieść, że dom w mojem ręku, pozostając nie upadł: inaczej zdawałoby mi się, że was okradam.

Wzruszenie głosu mu tamowało; utarł nos, żeby przyjść tymczasem do siebie; poczem spytał:

— Nic na to nie mówisz?

Ale Colomban nie miał nic do powiedzenia. Kiwał głową i oczekiwał coraz bardziej zmieszany, zgadując do czego zmierza pryncypał. Będzie to pewnie propozycja, żeby się połączyć niezwłocznie. Jak tu się wymówić? Nigdy się na to nie zdobędzie. A ta druga, o której dzień i noc marzy, tak roznamiętniony, że w nocy rzuca się na podłogę, bojąc się umrzeć.

— Obecnie posiadam kapitał, który może nas uratować. Położenie staje się codzień gorszem, lecz może gdy uczynimy ostatnie wysilenie.... chciałem cię o tem uprzedzić. Zaryzykujemy wszystko dla uratowania wszystkiego. Jeżeli zo-

staniemy pobici, nie ma co mówić, będzie już po nas. Ale z tem wszystkim mój chłopcze, ślub musi być jeszcze odłożony, bo nie chcę was o własnej tylko sile rzucać w ten zamęt; byłoby to podłością, nieprawdą?

Colomban doznał wielkiej ulgi; usiadł na sztukach bai, bo nogi ciągle pod nim drżały. Obawiając się okazać swoją radość, spuszczał głowę i kręcił palcami młynka na kolanach.

— Nic nie mówisz? — znowu spytał Baudu.

Nie mówił, bo nie mógł nic wymyśleć do powiedzenia. — Sukiennik rozpoczął więc na nowo:

— Byłem pewien, że cię to zasmuci... Musisz się zdobyć na odwagę. Otrząśnij się, nie bądź tak przygnębiony... Przedewszystkiem zrozumiej moje położenie: czy mogę uwiązać wam u szyi taki kamień? Zamiast dobrego interesu, gotowem pozostawić wam upadłość? Nie, tylko niegodziwiec mógłby się na taki krok zdobyć... Nie możesz wątpić, że pragnę waszego szczęścia, lecz nigdy mię nie zmusisz iść przeciwko sumieniu.

Długo mówił w ten sposób, wikłając się wśród sprzecznych z sobą frazesów, jak człowiek pragnący być zrozumianym z półsłówek i uledez przemocy.

— Ponieważ obiecałem ci swoją córkę i sklep, prosta uczciwość nakazuje mi oddać jedno i drugie w dobrym stanie, bez braków i długów. Tylko że się czuję zmęczonym, ten ciężar wydaje mi się zbyt wielki...

Dźwięczało błaganie w drżącym jego głosie. Słowa mu się w ustach plątały coraz więcej; wciąż oczekiwał, że Colombanowi wyrwie się z serca okrzyk — lecz napróżno.

— Wiem, że starym ludziom brak ognia; gdy młodzi biorą zarząd w rękę, wszystko się ożywia, mają bowiem ogień w ciele i to jest bardzo naturalne... Ale nie, nie, nie mogę, słowo uczciwości! Gdybym ustąpił, potem byście mi to wyrzucali.

Zamilkł, drżąc cały, a ponieważ młodzieniec siedział wciąż z głową spuszczoną, zapytał go trzeci raz, po chwili kłopotliwego milczenia:

— Nic nie mówisz?

Nakoniec Colomban, nie patrząc nań odpowiedział:

— Nie ma tu nic do powiedzenia, panie Baudu: jesteś panem w tej sprawie i masz więcej rozumu od nas wszystkich. Kiedy tego wymagasz, zaczekamy; trzeba się zdobyć na rozsądek.

Na tem skończyła się rozmowa. Baudu sądził, że się Colomban, rzuci w jego objęcia z wykrzykiem: „Ojcze, uspokój się będziemy walczyć; teraz nasza kolej nastąpiła. Oddaj nam sklep, jakim jest, abyśmy dokazali cudu i wyratowali go”. Patrzył nań i opanował go wstyd; oskarżał siebie, że chciał oszukać swe dzieci. Stara drobiazgowość aż do manii uczciwość, rozbudziła się w nim na nowo. Ten roztropny chłopiec ma rację, myślał on; w handlu nie ma uczucia, są tylko cyfry.

— Uściskaj mnie chłopcze; — powiedział na zakończenie — a zatem rzecz postanowiona, za rok dopiero pogadamy znów o ślubie. Trzeba pierwszej pomyśleć o tem co najważniejsze.

Wieczorem w sypialnym pokoju, kiedy pani Baudu spytała się o rezultat rozmowy, obstawał przy swoim uporze prowadzenia walki osobiście do końca. Ogromnie chwalił Colombana, jako chłopca poważnego, z dojrzałym sposobem myślenia, wychowanego w dobrych zasadach, niezdolnego umizgać się do klientek, jak te trzpioty z *Bonheur*. O nie, on zupełnie jest naszym, nie będzie spekulował sprzedażą, jak wartościowemi papierami na giełdzie.

— Kiedyż ślub? — spytała pani Baudu.

— Trochę później — odpowiedział — chcę dotrzymać obietnicy.

Nie zrobiła żadnego poruszenia, tylko powiedziała po chwili:

— To przyprawi naszą córkę o śmierć.

Baudu nurtowany gniewem, hamował się.

— Ja także umrę — rzekł — jeżeli mię tak ciągle będą trapić. Jestże to moja wina? Kocham córkę, oddałbym krew za nią, ale nie mogę uczynić tego, aby dom rozwijał się pomyślnie w tak nieprzyjaznych okolicznościach. Genowefa powinna mieć trochę zastanowienia i czekać cierpliwie, aż do lepszego bilansu. Cóż u diabła! Colomban nie odstępuje od niej na krok, nikt go

przecież nie ukradnie! To rzecz nie do uwierzenia, tak dobrze wychowana dziewczyna!

Pani Baudu nic nie mówiła. Zapewne odgadła męki zazdrości swej córki; ale nie widziała potrzeby wtajemniczać w to męża. Dziwna kobieca lęklivość, przeszkadzała jej zawsze dotykać tkliwych kwestyj. Widząc że milczy, zwrócił swój gniew ku ludziom z przeciwka; wygrażał pięściami w stronę warsztatu, gdzie właśnie tej nocy, kładziono żelazne wiązanie, z wielkim hukiem młotów.

Dyoniza postanowiła wrócić do Magazynu Nowości, miarkując że państwo Robineau, zmuszeni są zmniejszyć personel, ale nie śmieją jej wywalić. Ażeby się jeszcze jako tako utrzymać, musieli oni sobie sami wystarczać. Gaujean upierał się w swej złości, prolongował kredyt, obiecywał nawet wynaleźć fundusz, ale biednego Robineau strach ogarniał; chciał spróbować jak mu pójdzie przy oszczędności i rządności. Przez ciąg dwóch tygodni Dyoniza czuła, że im przymnaża kłopotu; dla tego pierwsza zmuszoną była powiedzieć, że ma miejsce gdzie indziej. Było to rodzajem ulgi. Pani Robineau, uściskała ją wzruszona, zapewniając, że będzie jej zawsze żałować. Gdy na jej pytanie odpowiedziała, że wraca do Moureta, Robineau mocno zbladł i wykrzyknął gwałtownie:

— Dobrze pani robisz!

Daleko trudniej było o tem zawiadomić Bourrasa, jednakże musiała mu wypowiedzieć mieszkanie; drżała, czując głęboką wdzięczność dla niego. Bourras właśnie bezustannie był zły, znajdując się wśród zgiełku sąsiedniego warsztatu. Wozy z wapnem zagradzały drzwi od sklepu; oskardy uderzały w jego ściany; od uderzeń młotów laski i parasole podskakiwały. Zdawało się, iż lepianka uporczywie stojąca, pośród ogólnego zburzenia, rozpadnie się na dwoje. Lecz najgorsze było to, że budowniczy, pragnąc połączyć kantory istniejące już w magazynie, z urządzonemi w dawnym hotelu Duvillarda, wpadł na pomysł przekopania podziemnej komunikacji pod domkiem, który je rozdzielał. Dom ten należał do Moureta; ponieważ w kontrakcie było zastrzeżone, iż lokator nie ma prawa przeszkadzać reperacyom, robotnicy zjawili się pewnego ranka. Bourras o mało nie dostał apopleksyi. Niedoścże jeszcze, iż go ściśnięto ze wszech stron: z prawej, z lewej i z tyłu, jeszcze musieli go chwycić za nogi, usuwać z pod niego grunt. Wypędził więc mularzy i procesował się. Zgoda na reparacye, ale w tym razie, rzecz idzie tylko o upiększenie. Dzielnica, nie przesądzając zresztą, przypuszczała, że on wygra sprawę. W każdym razie, proces ten mógł się długo ciągnąć, roznamietniano się więc do tego pojedynku bez końca.

W dzień, kiedy Dyoniza postanowiła pożegnać Bourrasa, wracał on właśnie od adwokata.

— Czy dasz wiarę — krzyczał — twierdzą teraz, że dom nie jest dość mocny i że trzeba wznowić fundamenta., Do licha! Cóż dziwnego, że się chwieje, kiedy go ciągle obruszają temi piekielnymi maszynami.

Potem kiedy mu Dyoniza oznajmiła, że się rozstana, że wraca do Moureta z pensją tysiąca franków, był tak zdumiony, że w milczeniu wznosił drżące ręce do góry i ze wzruszenia padł na krzesło.

— Ty! ty! przebaknął. Słowem, ja jeden zostaję... sam jeden!

Po chwili milczenia, spytał:

— A malec?

— Wróci do pani Gras, ona go bardzo kochała — odrzekła Dyoniza.

Znowu umilkł. Byłaby wołała, żeby wybuchnął, wymyślał i wygrażał pięścią, bo ten starzec przygnębiony, osłupiały, zasmucał ją strasznie. Gdy ochłonął z wrażenia, zaczął jednak znowu krzyczeć.

— Tysiąc franków! to nie do odrzucenia! Wszyscy tam pójdziecie. A więc idź, pozostaw mnie samotnym... Tak! samotnym... rozumiesz. Zawsze będzie jeden, który karku nie ugnie. I powiedz im, że proces wygram, chociażbym miał sprzedać ostatnią koszulę.

Dyoniza dopiero w końcu miesiąca miała opuścić państwa Robineau. Widziała się z Mouretem i wszystko zostało ułożone. Pewnego wie-

czoru, wracając do siebie, spotkała Deloche'a, oczekującego w bramie, który ją zatrzymał. Bardzo był uszczęśliwiony tą wiadomością; w całym magazynie o tem tylko mówiono. Opowiadał jej wesoło rozchodzące się tam plotki:

— Rozumie się, że te panie od okryć strasznie się krzywią. Naraz dodał:

— Ale, ale, pamiętasz pani Klarę? Otóż zdaje się, że pryncypał... rozumie pani?

Zaczerwienił się; ona zaś zbladła i wykrzyknęła:

— Pan Mouret!

— Osobliwy gust, prawda? — odrzekł, kobieta podobna do konia. Ta mała bieliźniarka, która była u niego dwa razy przeszłego roku, jest przynajmniej milutka. Zresztą, to jego rzecz.

Dyoniza wróciła do domu, czując że omdlewa... Zapewne od szybkiego wejścia na wschody. Oparła o okno, miała rodzaj wizyi z Valognes. Ukazały jej się puste ulice z brukiem mchem porośłym; w dzieciństwie miała bowiem ten widok przed oczami. Opanowała ją chęć ujrzeć to na nowo, skryć się w zapomnieniu i prowincjonalnej ciszy. Paryż ją drażnił; nienawidziła Magazynu Nowości, sama nie wiedziała dla czego tam wraca. Cierpiała mocno i czuła, że cierpieć jeszcze więcej będzie wskutek opowiadań Deloche'a. W tej chwili, bez powodu, łzy puściły się jej z oczu, musiała więc odejść od okna. Długo płakała, poczem wróciła jej odwaga do życia. Naza-

jutrz po śniadaniu, Robineau dał jej zlecenie jakieś na miasto; — przechodząc koło Vieil El-beuf, weszła tam ujrzawszy samego Colombana w sklepie. Państwo Baudu byli przy śniadaniu, dochodził brzęk widelców z głębi salki jadalnej.

— Możesz pani wejść — powiedział subiekt — siedzą przy stole.

Lecz ona zrobiła znak, żeby milczał i pociągnawszy go w kąt, zniżonym głosem rzekła:

— Ja z panem chcę pomówić... Czy nie masz serca? nie widzisz że Genowefa kocha cię i że jej śmierć grozi z twego powodu?

Mówiąc to drżała, opanowana wczorajszą gorączką. On zmieszany i zdziwiony tym nagłym atakiem patrzył na nią, niewiedząc co odpowiedzieć.

— Wie że kochasz inną — ciągnęła dalej. Powiedziała mi to zalewając się łzami. Ach! biedne dziecko... nie wiele już w niej życia! Gdybyś widział jej ramiona, aż się na płacz zbiera. Przecież jej pan nie dasz umrzeć!

Przemówił nakoniec cały wzburzony:

— Ależ ona nie chora, pani przesadzasz. Ja tego nie widzę... Zresztą, to jej ojciec odkłada ślub.

Dyoniza ostro zaprzeczyła temu kłamstwu. Wiedziała ona dobrze, że najłżejsze naleganie z strony chłopca, skłoniłoby stryja do tego kroku. Co się zaś tycze zdziwienia Colombana, to wcale nie było udane; rzeczywiście nie zauważył po-

wolnego niknięcia Genowefy. Było to dla niego strasznem odkryciem; — póki nic nie wiedział, nie robił sobie wielkich wyrzutów.

— I dla kogo? — rozpoczęła na nowo Dyoniza, dla jakiejś nicdobrego! Chyba nie wiesz pan, kogo kochasz? Nie chciałam cię do tej chwili zasmucać, dla tego unikałam odpowiedzi na twe pytania. Słuchajże teraz: ona się wszystkim oddaje, drwi z ciebie, nigdy jej nie posiadziesz, albo w ten sposób jak inni, raz jeden, mimochodem.

Strasznie zbladł słuchając; za każdym frazesem rzuconym mu w oczy przez zaciśnięte zęby, drgały mu nieco wargi. Ona zaś przejęta okrucieństwem, bezwiednie oddawała się uniesieniu.

— Nakoniec — dodała ostatnim wysiłkiem głosu — jeżeli chcesz pan wiedzieć, to obecnie żyje z panem Mouretem.

Głos jej zamarł i jeszcze bledszą była od Colombana; oboje patrzyli na siebie.

Nareszcie wyjąkał:

— Ja ją kocham!

Dyonizę ogarnął wstyd. Dla czego mu to wszystko mówiła? czem się roznamiętniała? — zamilkła a ostatnie jego słowa brzmiały jej w uszach wraz z dalekim odgłosem dzwonu, który ją odurzał. „Kocham ją, kocham”, coraz się szerzej rozchodziło. On ma słusność, nie może zaślubić innej, myślała.

Obróciwszy się, spostrzegła Genowefę na progu jadalni.

— Milcz pan! — powiedziała żywo.

Ale było już za późno. Genowefa musiała słyszeć, bo ani kropli krwi nie było widać w jej twarzy. W tej chwili weszła pani Bourdelais, jedna z ostatnich wiernych klientek Vieil Elbeuf, gdzie znajdowała trwale towary. Pani de Boves, oddawna uległszy modzie, przeniosła się do Magazynu Nowości; pani Marty również przestała bywać, zwabiona wystawami z przeciwka. Genowefa zmuszoną była zbliżyć się, aby spytać swym matowym głosem:

— Czego pani sobie życzy?

Pani Bourdelais chciała obejrzeć flanele. Colomban wyciągnął z przegródki sztukę, a Genowefa ją pokazywała i oboje z zimnemi rękami, stali blisko siebie po za kontuarem. Baudu wyszedł nakoniec z salki, w ślad za żoną, która zaraz usiadła na ławeczce przy kasie. Z początku nie wdawał się do sprzedaży: uśmiechnął się do Dyonizy i stał, patrząc na panią Bourdelais.

— Nie dosyć ładna — rzekła ta pani. Pokaż pan co mocniejszego.

Colomban podał drugą sztukę: nastąpiła krótka chwila milczenia. Pani Bourdelais przyglądała się flaneli.

— Po czemu?

— Sześć franków — odpowiedziała Genowefa.

— Sześć franków, ależ naprzeciwno taka sama jest po pięć!

Konwulsyjne drganie przebiegło po twarzy pana Baudu. Nie mogąc się powstrzymać, wdał się w targ z najwiękaszem jednak ugrzecznieniem.

— Pani się myli zapewne, ta flanela powinna się sprzedawać po sześć franków pięćdziesiąt centymów, więc niepodobieństwo żeby ją oddawano po pięć. Musiał to być inny gatunek.

— Nie, nie; — odpowiedziała z uporem mieszczki, która się nie da oszukać; — taka sama flanela, a może jeszcze gęstsza.

Spór się zaostrzał: Baudu z złością rozlaną na twarzy, silił się na uśmiech. Gorycz przeciwko Magazynowi Nowości go dławiała.

— Doprawdy, należałoby się lepiej mnie traktować, bo gotowam pójść naprzeciwno, jak inne klientki pańskie.

Wówczas stracił głowę i wykrzyknął, trzęsąc się od długo powstrzymywanego gniewu:

— A więc idź pani naprzeciwno!

Pani Bourdelais mocno obrażona, podniosła się szybko i wyszła, mówiąc:

— Tak też zrobię, mój panie!

Wszyscy osłupieli, przerażeni gwałtownością pryncypała. On sam był zmieszany i drżący, potem co powiedział. Słowa te wymknęły mu się mimowolnie, jako wybuch złości gromadzącej się oddawna. Oboje Baudu, nieruchomi, z opuszczonymi rękami, śledzili wzrokiem panią Bourde-

lais, przechodzącą przez ulicę. Zdawało im się, że unosi z sobą ich pomyślność, gdy spokojnym swym krokiem, weszła we wspiane podwoje Magazynu. Ujrzawszy ją niknącą w tłumie, oddali się rozpaczy.

— Jeszcze jedną nam zabierają! — mruknął sukiennik.

Potem, zwracając się do Dyonizy, o której nowem zobowiązaniu się już wiedział, rzekł:

— I ciebie także znowu zabierają... nie mam o to żalu. Przy nich jest siła, bo mają pieniądze.

Właśnie w tej chwili, Dyoniza, sądząc że Genowefa nic nie słyszała, szepnęła jej na ucho:

— On cię kocha, bądź lepszej myśli.

Ale Genowefa odpowiedziała po cichu drżącym głosem:

— Dla czego kłamiesz?... Patrz! Nie może się powstrzymać, spogląda w górę; wiem, że mi go skradli, tak jak nam wszystko kradną.

Poszła usiąść na ławce przy kasie, obok matki; która musiała odgadnąć nowy cios, jaki uderzył w jej córkę, bo spojrzała najpierw na Colombana a potem na Magazyn. Prawda, że im kradli wszystko: ojcu majątek, matce umierające dziecko, córce męża oczekiwanego od lat dziesięciu. Wobec tej nieszczęśliwej rodziny, Dyoniza, której serce tonęło we współczuciu, załękła się na chwilę, że jest niegodziwą. Czyż nie miała znowu przyłożyć ręki do maszyny, która rujnuje bieda-

ków! Ale zdawało się, że ją porywa jakaś nieznana siła; czuła, że nic złego nie czyni.

— Ba, — powiedział Baudu dla nadania sobie fantazyi — nie przyprawi nas to o śmierć. Za tę jedną klientkę, możemy zdobyć dziesięć innych. Słyszysz Dyonizo, mam tu siedemdziesiąt tysięcy franków, które sprowadzą nie jedną noc bezsennej twojemu Mouretowi. Proszę was, porzućcie te miny pogrzebowe!

Nie mógł ich rozweselić, a nawet sam uległ na nowo niejakiej obawie, wszyscy zwrócili oczy w stronę potwora; pociągani przez niego i owładnięci, wchłaniali w siebie własne nieszczęście. Roboty były na ukończeniu; z przed frontowej fasady usunięto rusztowania, cała połać kolosalnej budowy odsłoniła się z białymi ścianami, w których widniały ogromne okna o jednej szybie; właśnie przed chodnikami oddanymi już na ogólny użytek stało osiem wozów, na które służba sklepowa ładowała towar wynoszony z biura ekspedycyi. Przy blasku słońca, którego promień prześlizgał się po ulicy, boki wozów zielone, w desenie żółte i czerwone, połyskiwały jak lustra i rzucały olśniewające blaski aż w głąb starego Vieil Elbeuf. Furmani w czarnej liberyi, wyglądali z pańska, krótko trzymając przepyszne konie, wstrząsające posrebrzanemi wędzidłami. Za każdym razem jak wóz napełniono, bruk tak tętnił, że aż się trzęsły sąsiednie małe sklepy.

Na widok tej tryumfalnej defilady, która biednym Baudu przesuwała się przed oczami dwa razy dziennie, krajało się ich serce. Ojciec omdlewał, zapytując siebie, dokąd może zdążyć ta fala towarów; matka zaś chora skutkiem udręczeń córki, patrzyła na nie, nic nie widząc, oczami łez pełnemi.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

BIBLIOTEKA
Zw. Legionistów Pol.
ODDZIAŁ LUBLIN.

No. 1181.



२०५.-



Biblioteka Uniwersytetu
M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A25256

1-2

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki



1000182660

T.2



1000182562

T.1